NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 7140·— Mk. z przes. 7400·— Mk. Półrocznie 14800·— Mk. Rocznie 29600·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 600 Marek.

Rok XX. Kraków, 13 stycznia 1923. Nr. 2.

Straszny wypadek na Rynku krakowskim



(Rycina do artykułu na stronie drugiej).

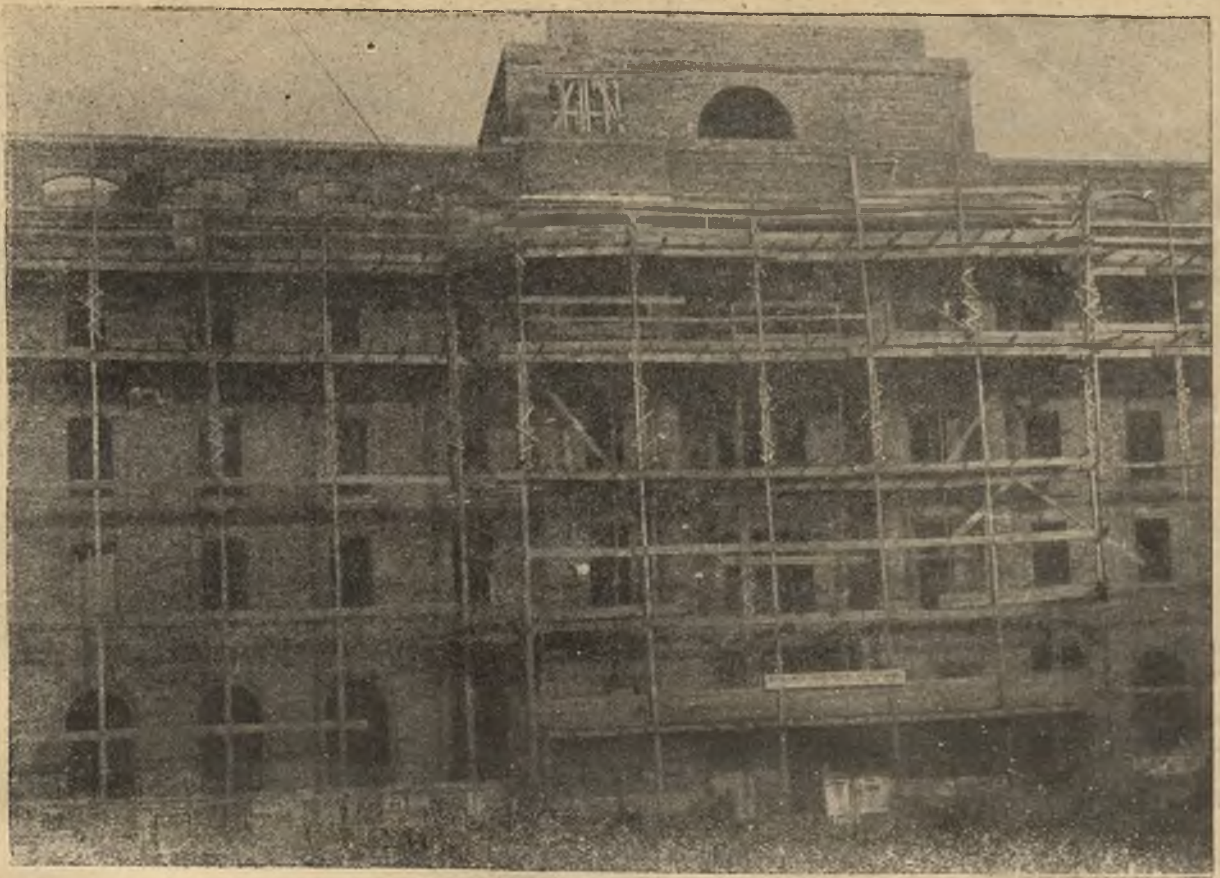
Straszny wypadek na Rynku krakowskim.

(Do illustracyi tytułowej.)

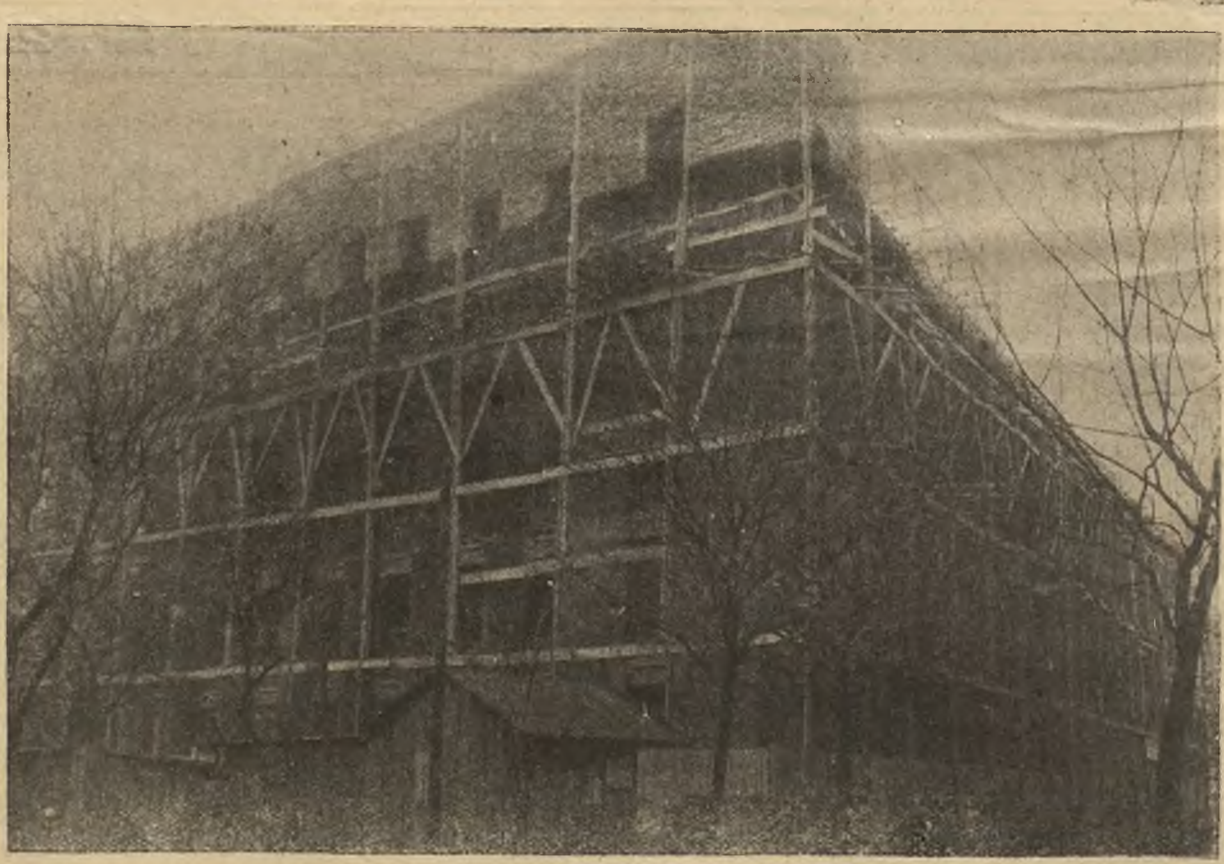
Rynek krakowski był w ubiegły wtorek widownią strasznego wypadku, który pociągnął za sobą szereg ofiar. Na przypadający w tym dniu targ zjechał gospodarz z Zesławic, 55-letni Michał Franczak i zatrzymał konie na Rynku obok Ratusza. Obok tego miejsca naprawiano w tym czasie przewody elektryczne, przyczem rozłożono dużą drabinę po której wychodził jeden z robotników. Spłoszone widokiem drabiny konie zerwały się i poniosły w kierunku linii A B, wpadając szalonym pędem w tłumy ludzi, czyniących zakupy na Rynku. Siedzący na wozie gospodarz nie mógł powstrzymać rwących koni, które parły naprzód, tratując przechodniów. Wśród publiczności powstał niesłychany zamęt i krzyk. Uciekano w popłochu do pobliskich kamienic i Sukiennic. Dopiero po dłuższym czasie, gdy konie wpadły na drzewo, zdołano je przytrzymać.

Równocześnie zawezwano lekarza Pogotowia Ratunkowego, który natychmiast zajął się energicznie opatrywaniem rannych. Jak stwierdzono, ofiarą wypadku padli: 1) gospodarz Franczak, lat 55, u którego lekarz skonstatował dwie rany cięte nad nad lewem okiem, jedną głęboką ranę tłuczoną na lewym łuku brwiowym, dwie rany cięte na lewym policzku oraz zdarcie naskórka na obu rękach; 2) Katarzyna Świder, lat 36, gospodyni z Birkowa Małego, duża rana cięta w prawym kącie ocznym; 3) Magdalena Koza, lat 25, z Kurdwanowa, żona robotnika, stłuczona lewa noga; 4) Barbara Janowiczowa, lat 52, żona rewidenta kolejowego z Krakowa, rana tłuczona w okolicy potylicy; 5) Józef Grabczak, lat 25, handlarz mleka z Krakowa, rany darte lewego podudzia i 6) Teresa Dzemborowa, lat 56, rana cięta na brodzie i skręcenie prawego stawu skokowego. Nadto kilkanaście osób lżej rannych udało się do domu, cięższej rannych po opatrzeniu na miejscu odwieziono do szpitala św. Łazarza. Konie zniszczyły ponadto wiele towarów, potłukły stosy jaj, poobalały blaszanki z mlekiem itp.

Katastrofa wywołała olbrzymie wrażenie w mieście.



Nowe budowle w Krakowie: Gmach Pol. Kraj Kasy Pożyczkowej przy ul. Basztowej.



Nowe budowle w Krakowie: Gmach Poczt. Kasy Oszczędności od strony Plant Dietlowskich.

Nowe budowle w Krakowie.

Jedną z najdotkliwszych klęsk powojennych, jakie trapią ludność, jest brak mieszkań. „Ochrona lokatorów" jest zbawieniem dla szczęśliwych posiadaczy mieszkań, nie rozwiązuje jednak palącej sprawy mieszkaniowej. Ludności przybywa, stare domy się walą, a nowych nikt nie chce budować — więc sytuacya z każdym rokiem staje się cięższą. I nic tu nie pomogą rekwizycye i urzędy mieszkaniowe. Jedynie racyonalny ruch budowlany może zaradzić katastrofie.

Pod tym względem jest konieczną jakaś szersza akcya ze strony państwa, gmin i czynników społecznych. Przedewszystkiem zaś jest konieczny nacisk, aby przynajmniej urzędy i instytucye (mieszczące się dotychczas w prywatnych lokalach) przystępowały do budowy własnych gmachów. Pod tym względem w Krakowie zrobiono dobry początek. W ostatnich dniach wyciągnięto pod dach kilka takich budowli. Przy ul. Basztowej na rogu placu Matejki stoi już pokryty dachem, lecz jeszcze nie wykończony gmach Pol. Kraj. Kasy Pożyczkowej. Na ul. Wielopole wre jeszcze praca przy budowie olbrzymiego gmachu Poczt. Kasy Oszczędności. Projekt tej monumentalnej budowli wykonał i prowadzi roboty zasłużony kierownik odbudowy Wawelu prof. Szyszko-Bohusz. Jest też na ukończeniu pierwszy „drapacz chmur" w Krakowie pomiędzy ul. św. Tomasza, Plantami i ul. Mikołajską, budowany specyalnie na biura przez Polski Bank Przemysłowy. W gmachu tym znajdzie również pomieszczenie Giełda.

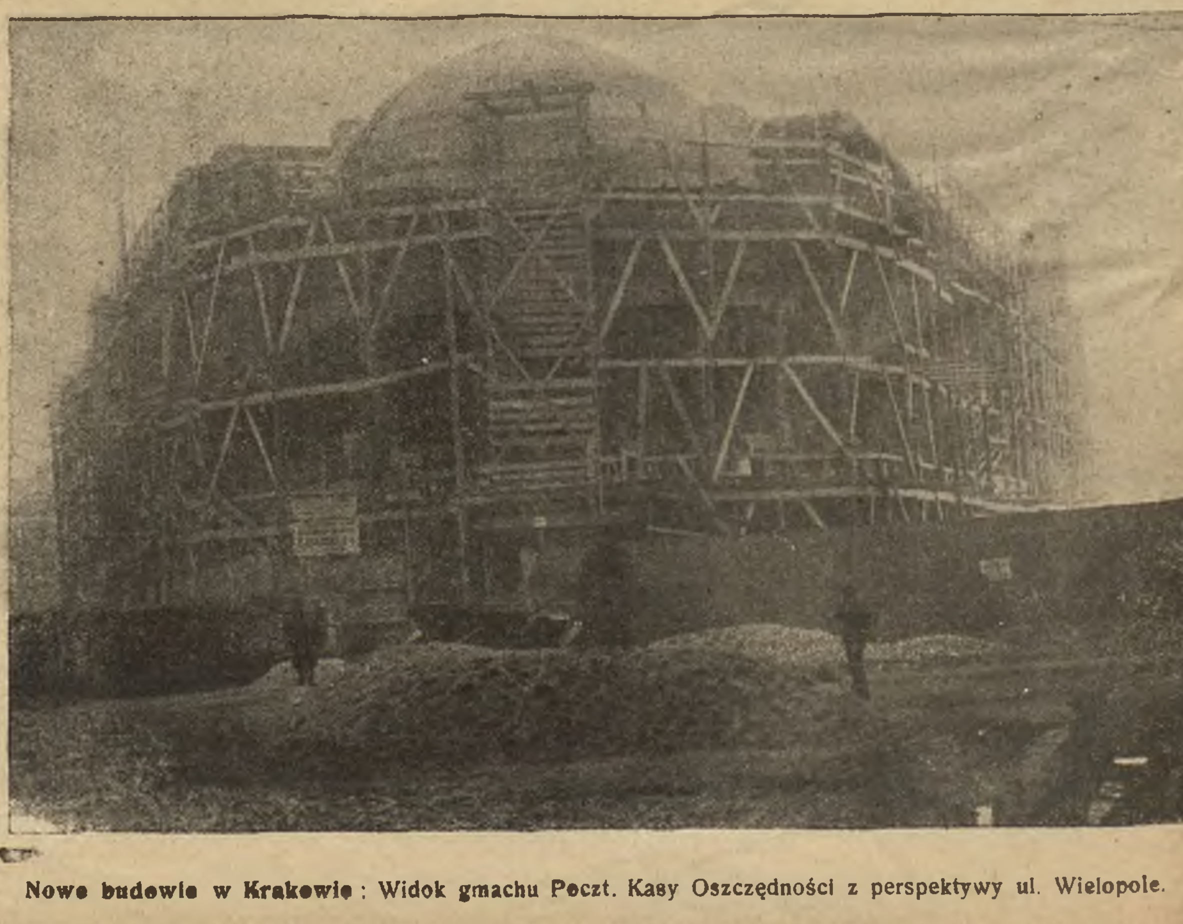
W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcia z tych budowl w obecnym ich stanie.

K. S. „Cracovia" w Paryżu.

(Od własnego korespondenta).

Na zaproszenie wieloletniego mistrza Francyi piłki nożnej K. S. „Red Star'u" wyjechała „Cracovia" do Paryża w szesnastu ludzi pod osobistem kierownictwem prezesa P. Z. P. N., a zarazem prezesa Klubu p. dr. Cetnarowskiego. Po trzydziestokilkogodzinnej dość męczącej podróży przybyła „Cracovia" witana owacyjnie przez delegatów K. S. „Red Star'u", ambasady polskiej, oraz przez liczną publiczność.

Po jednodniowym wypoczynku spotkała się



Nowe budowle w Krakowie: Widok gmachu Poczt. Kasy Oszczędności z perspektywy ul. Wielopole.

„Cracovia“ w Sylwestra z mistrzem Szwajcaryi „Servette“ z Genewy wychodząc z wynikiem nierozstrzygniętym 1:1 (1:0 dla „Cracovii.“)

W drugi dzień spotkanie z „Red Star'em“ przyniosło znaczną, aczkolwiek niezasłużoną porażkę 5:2 (3:2). „Cracovia“ grała bez Sperlinga i bez Stycznia.

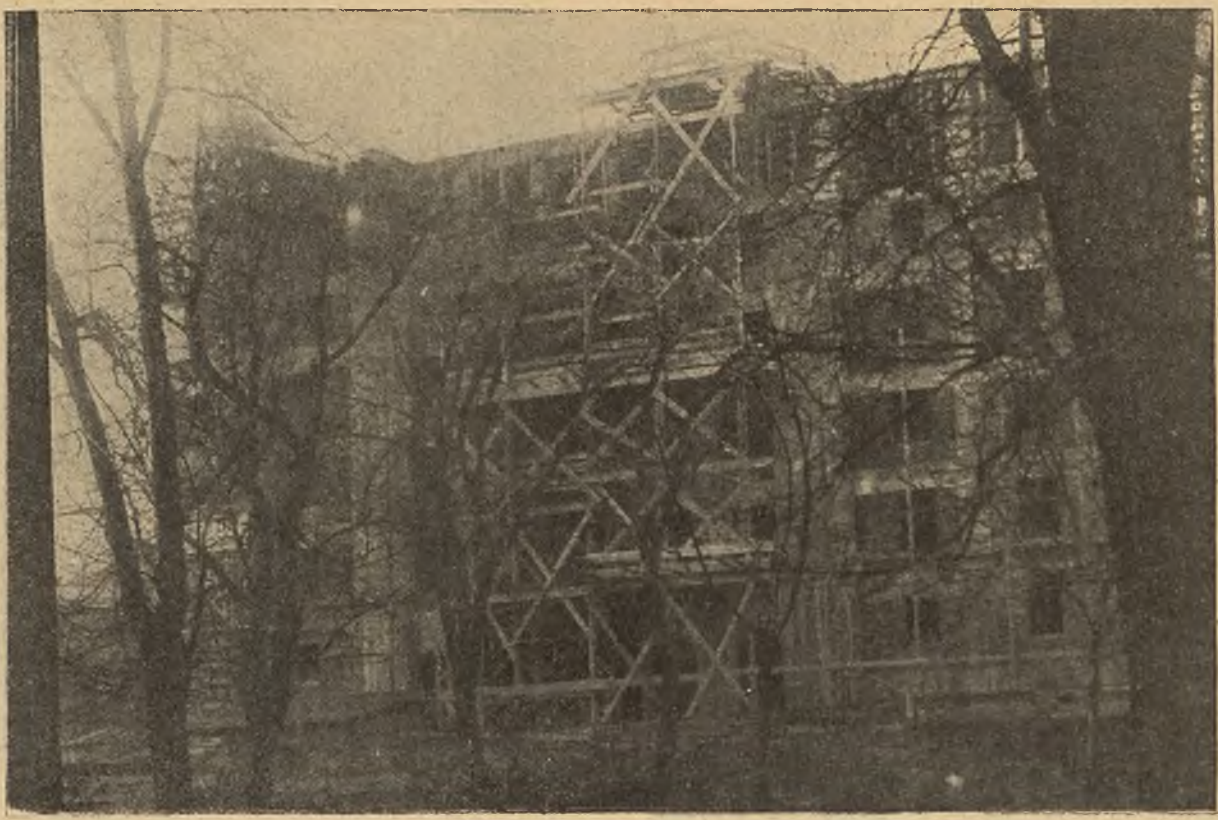
Wielotysięczne tłumy witały nadzwyczaj owacyjnie pojawienie się drużyny polskiej na ziemi francuskiej i oklaskiwały przez cały przeciąg gry kombinacyjnie i precyzyjnie grającą „Cracovię“. Drużyna polska uległa bardzo brutalnej grze Francuzów.

W ciągu całego pięciodniowego pobytu zwiedzili gracze prawie cały Paryż, przyjmowani przez kolonię polską, przez Komitet francusko-polski i przez posła hr. Zamoyskiego, gdzie składano drużynie ciągłe powinszowania z powodu pięknej gry. Na bankiecie wydanym przez K. S. „Red Star“ wręczył kapitan drużyny polskiej piękny proporzec o barwach klubowych drużynie francuskiej.

Z żalem wyjeżdżała „Cracovia“ z Paryża, nie mogąc zadość uczynić zaproszeniom tak klubów francuskich, jak szwajcarskich, którym musiała odmówić z powodu niedyspozycyi najlepszych graczy, jak również i z braku czasu, oświadczając, że chętnie na wiosnę powtórnie zmierzy się z tymi klubami. w Genewie lub w Paryżu.

Zaznaczyć należy, że „Cracovia“ jest jedynym klubem w Polsce, który potrafił nawiązać stosunki sportowe prawie ze wszystkimi krajami na kontynencie.

Prawdopodobnie w czasie świąt Wielkanocnych „Cracovia“ przyjmie udział w mityngach sportowych w Hiszpanii, dokąd zaproszoną została przez najlepsze kluby hiszpańskie, m. i. przez „Barcelonę“.



Nowe budowle w Krakowie: „Drapacz chmur“ u wylotu ulic Mikołajskiej i św. Tomasza.

„Popas króla Jegomości“

na scenie krakowskiej.

Świat literacki miał miłą niespodziankę i „senzacyę“. Znakomity krytyk i świetny publicysta p. Adam Grzymała-Siedlecki, syt na tem polu dobrze zasłużonych laurów, zabłysnął nagle jako autor wesołej farsy p. t. „Sublokatorka“. Zachęcony powodzeniem na tem nowem polu swej twórczości wystąpił obecnie z nową sztuką „historyczną“ p. t. „Popas króla Jegomości“, z czasów Henryka Walezego, tryskającą życiem i staropolskim, reyowskim humorem. Utwór ten, grany już w „Rozmaitościach“ w Warszawie i na scenie teatru im. Jul. Słowackiego w Krakowie, trafnie i dowcipnie scharakteryzował Kornel Makuszyński. Jest to „komedya — nie komedya, co kto chce. Wyborna krotochwila, zapustna maskarada, nieprzystojny figiel, najweselsze widowisko, trzyaktowe westchnienie, jurna opowieść, rubaszna bajeczka. Tak, czy owak to się będzie nazywało — zostało napisane z temperamentem, ze zwaryowaną werwą.

Nie chodzi tu o prawdę historyczną w całem znaczeniu tego słowa. Siedleckiemu chodzi nie o Walezego, tylko o to, by odskoczyć na jak największą odległość wieków, od szarzyzny, marności, krętactwa, obłudy, plugastwa, prawdziwej intrygi i fałszywej miłości. Siedlecki posłał siebie na willegiaturę w przeszłość; posłał siebie po czyste powietrze w góry na te szczyty, u których podnóży stoimy



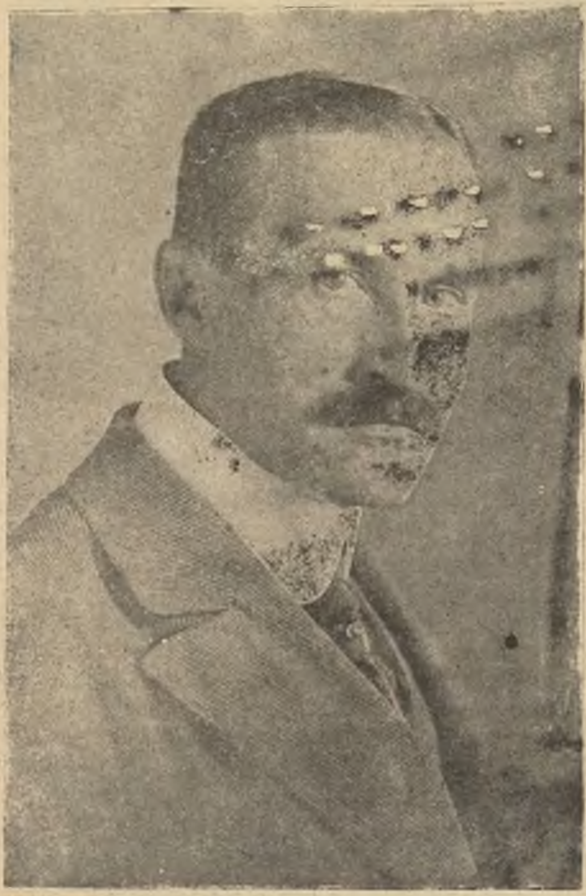
K. S. „Cracovia“ w Paryżu: Drużyna „Cracovii“ na boisku stadyonu paryskiego.

teraz my po kostki w bagienku, o czem piszemy wiersze, powieści i komedye.

„Popas króla Jegomości“, który zdobędzie w repertuarze scen polskich trwałe miejsce, wystawiono na scenie krakowskiej bardzo starannie. Świetna inscenizacya dyr. Trzcińskiego, stylowe dekoracye projektu Andrzeja Pronaszki i doskonała gra artystów stworzyły obraz, pełen wdzięku i szczerej, choć rubasznej wesołości. Nie wymieniamy wszystkich wykonawców, bo należałoby przepisać cały afisz. Podnieść jednak należy grę p. Pancewiczowej (urocza p. Małgorzata) i p. Białkowskiego, który w myśl intencyi autora stworzył wesołą postać króla-pajaca.



K. S. „Cracovia“ w Paryżu: Przed bramką „Cracovii“. Bramkarz Popiel odpiera gwałtowny atak Francuzów



„Popas króla Jegomości“ na scenie krakowskiej:
Adam Grzymała-Siedlecki autor „Popasu Króla Jegomości“

Straszne trzęsienie ziemi w Ameryce Południowej.

W nocy z 10. na 11. listopada ubiegłego roku zanotowały aparaty seizmograficzne wszystkich obserwatoryów europejskich oddalone, ale bardzo silne i kilkakrotnie powtarzające się trzesienie ziemi. Jak się następnie pokazało, nawiedzona niem została Ameryka Południowa, przedewszystkiem zaś wybrzeże chilijskie, ognisko zaś trzęsienia znajdowało się prawdopodobnie na dnie morskiem, równocześnie bowiem fale wystąpiły z brzegów i wałem, dochodzącym kilkudziesięciu metrów wysokości wdarły się gwałtownie na dwieście metrów w głąb lądu stałego, wyrzucając na brzeg nawet i ciężkie okręty i niszcząc wszystko, co napotkały po drodze.

Cały szereg nadbrzeżnych chilijskich miejscowości uległ w ten sposób prawie doszczętnej zagładzie, stosunkowo najwięcej ucierpiało miasto Caquimbo, gdzie zniszczoną została cała nadbrzeżna dzielnica. Grozę położenia powiększała ciemność, wszędzie przerwane zostały przewody elektryczne, równocześnie zaś szalała gwałtowna burza. Według obliczeń urzędowych przypłaciło życiem tę straszną katastrofę żywiołową około dwa tysiące osób, kilka tysięcy jest lżej lub ciężej rannych, liczbę zdemolowanych trzęsieniem ziemi i powodzią budynków obliczają również na tysiące, straty zaś materyalne w przybliżeniu na pięćdziesiąt milionów pesetów złotych.

Obecna katastrofa jest jedną z największych, akie dotąd zanotowała historya, przewyższa nawet messyńską, gdyż obszar, nawiedzony trzęsieniem był daleko większy. W czasie trzęsienia ziemi miały podobno zniknąć pod falami Wyspy Wielkanocne.



„Popas króla Jegomości“ na scenie krakowskiej.
Dyr. Teofil Trzciński, świetny inscenizator „Popasu króla Jegomości“.



„Popas króla Jegomości“ na scenie krakowskiej:
P. Tadeusz Białkowski w roli króla Henryka Walezego

Zamach na czeskiego ministra skarbu.

W całych Czechach wywołał olbrzymie oburzenie zamach na czeskiego ministra skarbu Raszina. W chwili, gdy wyszedł on z mieszkania i wsiadał do automobilu, 21-letni urzędnik asekuracyjny z Niemieckiego Brodu, Józef Soupal, strzelił do niego dwukrotnie z tyłu i ranił ciężko. Ministra przewieziono natychmiast do szpitala, gdzie





„Popas króla Jegomości“ na scenie krakowskiej.

Dekoracja I-ego aktu.

Scena z 2-go aktu.

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

9)

— Nie, nie, moje dziecko. Zapewnie chodzi o zamówienie mszy lub uczynek miłosierdzia — pozostań.

W chwilę później stara Maryanna wprowadziła do pokoju Martę i Armanda Sorel.

Młoda dziewczyna podeszła szybko do księdza Pegrusse i wyrzekła wzruszonym głosem:

— Proszę mi wybaczyć, że zjawiam się tak późno, ale wczoraj dopiero dowiedziałam się o tem, co mnie łączy z księdzem proboszczem.

Ksiądz Pegrusse patrzał zdziwiony, nie rozumiejąc tych słów.

— Jestem tą — mówiła dalej Marta — którą z miłosierdzia umieścił kiedyś ksiądz proboszcz w zakładzie Sióstr Augustyanek.

Twarz starego proboszcza rozpromieniła się radością.

— Jakto? — zawołał, chwytając rękę Marty — tybyłabyś moje dziecko Martą — naszą małą Martą!

— To jest jedyne moje imię...

— Które ja ci wybrałem... ale zbliż się moje dziecko, usiądź tu, niech ci się lepiej przypatrzę... Ah! Boże! tyle lat! tyle lat!

Marta posłusznie usiadła na wskazanem miejscu.

— Jakże piękną stałaś się Marto — mówił stary ksiądz ze łzami wzruszenia w oczach — tak, tak, poznaję te jasne... pogodne oczy niebieskie... bo... bo...

I zwrócił się nagle do księdza Klemensa.

— Bo takie są podobne do twoich... mój synu...

— Co to ma znaczyć! Co ksiądz chciał przez to powiedzieć! — zawołali równocześnie Klemens i Marta.

— I nie tylko to podobieństwo istnieje między Martą a księdzem — odezwał się Armand, który od chwili przybycia bacznie przypatrywał się księdzu Klemensowi... — te dwie twarze, to te same rysy, ten sam wyraz, ten sam kształt.

— Co mówisz, Armandzie! — zawołała Marta ze zdumieniem — Czyżby on był moim bratem?

— Jest to zupełnie prawdopodobne — przemówił zamyślony proboszcz... — niezbadane są drogi przeznaczenia... znalazłem was niegdyś... w okolicznościach bardzo tragicznych... razem!

— Razem!

— Tak. Ty Marto miałaś w owym czasie lat trzy może... on siedm. Boże mój! — westchnął ksiądz Pegrusse — jakże dziwne jednak drogi przeznaczenia. Przed chwilą właśnie miałem zamiar uczynić Klemensowi pewne zwierzenie, tyczące się jego przeszłości.. i właśnie weszłaś tu, Marto... Szczęśliwy się czuję, że możecie je oboje teraz razem wysłuchać. Zwierzenie to smutne i poważne i byłbym nałożył na Klemensa misyę odszukania cię, aby ci je wiernie powtórzył.

Armand Sorel chciał się wycofać dyskretnie z pokoju, lecz wstrzymała go Marta i ujmując za rękę, rzekła zwrócona do starego proboszcza:

— On jest moim narzeczonym. Niema żadnych tajemnic między nami. Jeżeli przez zrządzenie Opatrzności mam dowiedzieć się z ust księdza proboszcza, że mam brata, że posiadam rodzinę — niechże i on cieszy się mojem szczęściem.

— Dobrze, moje dziecko — odrzekł ksiądz Pegrusse. — Mam przeczucie, że nie mylę się, że Klemens naprawdę jest twoim bratem. Jeżeli więc ten młody człowiek wkrótce ma zostać twoim mężem, słusznem jest, aby i on był świadkiem mojego zeznania. Słuchajcie teraz. Działo się to, lat temu siedmnaście, w ostatnich dniach marca. Było wówczas moim zwyczajem odprawiać co tydzień, we czwartek, mszę w wiosce położonej niedaleko stąd. I dnia tego wybrałem się, jak zazwyczaj, o wczesnej bardzo godzinie, aby móc przybyć do wioski przed godziną ósmą. Szedłem szybkim krokiem, choć drogi ciężkie jeszcze były do przebycia. Kiedy uszedłem już ze dwa kilometry drogi, przechodząc przez most rzucony na rzece, przystanąłem na chwilę dla odpoczynku. Oparłem się wygodnie o wysoką poręcz i mimowoli pochyliwszy się, przysłuchiwałem się dźwiękom fal, szumiących w dole.

I nagle doleciał mnie jęk żałosny, jak gdyby płacz stłumiony małego dziecka.

W pierwszej chwili niemiłe uczucie lęku ogarnęło mnie; przypomniałem sobie wszystkie po- mie legendy, krążące zabobonnie po okolicy, o tem właśnie miejscu pod mostem, przezwanem przez ludność „Czarną paszczą".

Odpędziłem jednak prędko te myśli od siebie i zaciekawiony, pochyliłem się jeszcze niżej nad wodą — nadsłuchując.

Żałosna skarga dziecinnego głosu dochodziła do mnie coraz jękliwsza i wyraźniejsza.

Ale napróżno wysilałem wzrok — nic dostrzedz nie mogłem w gęstych kępach sitowin, rosnących nad brzegiem rzeki. Zmrok jeszcze był zupełny. Zszedłem więc z mostu i kierowany tą rozpaczliwą skargą, zbliżyłem się do rzeki i stanąłem tuż nad jej brzegiem. W miejscu tem woda szeroka, płytko rozlana, wytworzyła podłoże miękkie, gliniaste, gęsto zarośnięte trawami suchemi.

Jęk zdawał się wydostawać z pod moich stóp, tuż przy mnie.

Pochyliłem się i błądzące moje ręce, po dłuższej chwili natrafiły na jakieś ubranie, przesiąknięte wodą. Było to dziecko paroletnie może, nędzne, nieruchome. Możecie sobie wyobrazić, jakiego uczucia doznałem, kiedy dźwignąłem z wody wątłe to, zimne ciałko bez życia...

Jednakże jęk nie mógł stąd pochodzić, bo dziecko było zemdlone.

I rzeczywiście nie długo czekałem. Skarga rozległa się znowu, żałosna, rozpaczliwa...

Mój Boże! Cóż to jeszcze być mogło?

Zaniepokojony, przejęty, wszedłem w wodę, trzymając na ręce zemdlone dziecko. Pochyliłem się znowu i szukam wolną ręką, aż natrafiłem raz jeszcze na ociekłe wodą ubranie... na główkę o krótkich, jedwabistych lokach...

Tym razem był to chłopiec już siedmioletni. Ciało jego w postawie siedzącej wspierało się na niklej wysepce z piasku, podtrzymywane bezustannie napływającemi falami.

Silniejszy bywem wówczas, a zresztą wrażenie dodawało mi sił. Unosiem chłopca. Szarpnięcie musiało być za silne, bo jęknął tylko: „Mamo, mamo" i zwisł bezwładnie jak tamto na mojem ramieniu.

Położenie moje było bardzo dziwne i ambarasujące. Czy byłem mimowolnym świadkiem wypadku, czy też zbrodni?

Co robić? Oczywiście trzeba było jak najprędzej dać dzieciom troskliwą opiekę i staranie, przywrócić je do życia, o ile to jeszcze było możliwe — a potem poczynić potrzebne poszukiwania.

Nie namyślając się więc długo, wydrapałem się na drogę z podwójnym moim ciężarem i spiesznie, o ile mi tylko sił starczyło, biec zacząłem z powrotem do domu.

— Maryanno! — zawołałem, wbiegając do kuchni — patrz co ci przynoszę.

Poczciwa stara aż załamała ręce na mój widok. Z dzieci, jak również z ubrania mojego ciekły długie strugi wody na podłogę, tworząc brudną kałużę.

— Prędko, prędko, Maryanno — wołałem — otwórz drzwi mojego pokoju i rozpal natychmiast dobry ogień. Musimy rozgrzać te maleństwa.

— Ależ na Boga! Gdzież to ksiądz proboszcz znalazł? — lamentowała stara.

— W rzece, Maryanno, Bóg mnie tam zesłał. Byłyby się utopiły biedactwa... kto wie nawet...

Ale już Maryanna porwała dzieci i uniosła je do mojej sypialni.

Kiedy zaczęliśmy we dwoje zdzierać z nich przemoczone ubrania, okazało się, że z chłopca ciekła krew z kilku ran zadanych w ramiona i ręce. Obejrzałem te rany dokładnie, jedno ramię złamane było zupełnie w kilku miejscach — oprócz tego odkryłem dwie głębokie rany w głowie i prawej nodze, nie licząc już licznych, bolesnych stłuczeń i zadraśnięć. Biedactwo poprostu zmasakrowane było całe i nie odzyskało przytomności nawet po opatrzeniu ran i ułożeniu w ciepłem, wygrzanem łóżku.

Z dziewczyną poszło łatwiej. Była tylko skostniała ze zimna, i kiedy Maryanna nacierać ją zaczęła ciepłemi flanelami, ciało jej prędko zaróżowiło się od ciepła, a kiedy owinięta została w wygrzane kołdry i szale, zasnęła, oddychając równo i normalnie.

— To byłam ja, księże proboszczu? — przerwała opowiadanie Marta, z błyszczącemi od wzruszenia oczami.

— Tak, to ty byłaś, Marto — odpowiedział ksiądz Pegrusse. — Dzięki Bogu, nie miałem z tobą wiele kłopotu i zmartwienia, ale za to Klemens nabawił mnie wiele niepokoju.

Nie mogąc sam podjąć leczenia, byłem zmuszony posłać po doktora.

Ale jakże mu wytłómaczyć ten wypadek?

A może to była zbrodnia? Kto wie, jaki dramat mógł się rozegrać wokoło was, moje dzieci. Może zostaliście rozmyślnie opuszczeni przez rodzinę, a powodem tego była ohydna nienawiść, wyrachowanie zbrodnicze?

W razie zamilczenia wszystkiego przed władzami, nędzni sprawcy waszego opuszczenia zostaliby wolni, niedotknięci żadną karą za tę okropną zbrodnię?

Wszystkie te myśli, chaotycznie błąkały się po mojej głowie, podczas kiedy Maryanna krzątała się około Klemensa, leżącego bez czucia na mojem łóżku. Tymczasem jednak, pewny, że Bóg mi wskaże jaki powziąć zamiar, postanowiłem nie zmieniać nic w zwyczajnym biegu moich czynności i udać się przecież do wioski, gdzie czekano na moje przybycie. Mimowoli, przechodząc koło miejsca, gdzie was znalazłem, spojrzałem w tę stronę i prędko odwróciłem głowę.

Nad rzeką, pod mostem, dojrzałem w mgle wysoką ciemną sylwetkę, którą rozpoznałem natychmiast. Był to pan de Lognes, administrator zamku de Rochegrisse, człowiek który nigdy nie budził we mnie zaufania.

— Pan de Lognes — zdziwił się ksiądz Klemens. — Ten sam, którego poznałem w zamku przy śmierci markiza de Rochegrisse, ten sam, który mnie tu odwiedza?

— Tak, moje dziecko, ten sam.

— To jednak dziwne — szepnął zamyślając się głęboko ksiądz Klemens.

— W biednej naszej okolicy wówczas — ciągnął dalej proboszcz — żyliśmy w wielkiej materyalnej zależności od właścicieli zamku. Chociaż więc w pierwszym odruchu niechęci odwróciłem głowę, rozum jednak nakazał mi go przywitać. Przechodząc ukłoniłem się więc. Widok mój nie musiał być przyjemnym dla pana de Lognes. Spojrzał na mnie niechętnie, ledwie odpowiedział na moje przywitanie i nie podchodząc do mnie odwrócił się szybko, odchodząc w przeciwną stronę.

Nie wiem dlaczego, moje dzieci i proszę was nie przywiązujcie znaczenia do moich słów — myśl nagła uświadomiła się we mnie, że pan de Lognes był wmięszany w dramat, który się tej nocy rozegrał przy rzece.

Niech Bóg mi wybaczy to podejrzenie, jeżeli było niesłusznem, bo od lat siedemnastu niczem ono potwierdzonem nie zostało — a jednakże myśl ta nie opuściła mnie aż do tej chwili i ona to właśnie pokierowała mojem postanowieniem w stosunku do was, moje dzieci. Osądźcie sami, że dobrze, czy też źle uczyniłem.

— Oh! księże proboszczu! — zaprotestowali jednogłośnie gorąco Marta i ksiądz Klemens, schylając się do ręki zacnego staruszka.

— Faktem jest, że dochodząc do Corbieres po spotkaniu pana de Lognes, wyrobiłem sobie już pewność niezbitą, że zdarzenie tej nocy nie było wypadkiem, lecz obmyślaną zbrodnią.

W godzinę później powracałem już z Corbieres w towarzystwie doktora, pana Jourdan.

Co do ciebie, uspokoił mnie on zupełnie Marto, Klemensowi groziły jednak różne niebezpieczne komplikacye. Pomijając pogruchotanie zupełnie przedramienia, rana zadana w głowę była bardzo poważna i mogła wywołać zapalenie mózgu. Dziwne to jednak — zastanowił się stary proboszcz — że dziś, po latach siedmnastu, taki sam przypadek spotkał cię mój chłopcze pod skałami Rochegrisse. Ten sam fatalny upadek nad brzeg rzeki, ta sama, prawie identycznie zadana rana w głowę tępem, ciężkiem narzędziem.

— Rzeczywiście, dziwny zbieg okoliczności — potwierdził ksiądz Klemens.

— Powróćmy jednak do mojego opowiadania — rzekł stary proboszcz. — Nie wiesz jeszcze, moje dziecko, że zacnemu doktorowi Jourdan zawdzięczasz, że nie zostałeś kaleką na całe życie, groziła ci bowiem przez dni parę konieczność amputowania lewego ramienia. Jednakże doktór nadzwyczajnem staraniem i opatrunkami uchylił tę ostateczność. Przez dziesięć dni leżałeś jak martwy, przywiązany do deski, z ramieniem oblepionem gipsem. W czasie długotrwałych odwiedzin mogłem mu opowiedzieć wszystko. Poradził mi zachować całe to wydarzenie w tajemnicy i czekać dalszych wypadków.

Wypadki te jednak nie nadchodziły wcale. Nikt was nie szukał, nikt się o was niedopomi-

nał — istnienie wasze otoczone nadal zostało tajemnicą niezbadaną.

Cisza ta potwierdziła tylko moje przypuszczenie, że mieliśmy do czynienia z dobrze obmyślaną i premedytowaną zbrodnią.

Pewnego dnia udałem się do zamku, z ukrytą nadzieją wpadnięcia na jakiś ślad, podchwycenia jakiego słowa.

Markiz zawsze był dla mnie uprzejmy, nie przyjął mnie tym razem. Był podobno bardzo zajęty przygotowaniami, czynionemi do ślubu swojej córki Julii z hrabią de Valdeuse.

Nie dałem jednak za wygraną i w przeddzień wyjazdu całej rodziny do Paryża, zjawiłem się znowu.

Odpowiedziano mi, że markiz nie życzy sobie widzieć się ze mną, a jak się dowiedziałem później, pan de Lognes wydał rozkaz portyerowi nie wpuszczania mnie wcale do zamku.

Dało im to wiele do myślenia. Widocznie byłem niebezpiecznym gościem dla rodziny Rochegrise i obawiano się spotkania ze mną. I wówczas to, po raz pierwszy ogarnęło mnie przeczucie, że coś nieznanego grozić wam może w Monestier, że ludzie, którzy was na zawsze usunąć chcieli, mogą odkryć miejsce waszego schronienia i zechcieć raz jeszcze targnąć się na was.

Wówczas to, Marto, wpadłem na myśl umieszczenia cię w zakładzie sióstr Augustyanek, którego przełożoną znałem jeszcze z lat dawnych. W zakładzie tym miałaś pozostać tylko czas jakiś, aż do zupełnie powrócisz do zdrowia, następnie przełożona miała cię zawieźć do innego schronienia bardziej oddalonego i bezpiecznego... W kwietniu znajdowałaś się już u sióstr w Besaucon...

— Powracamy właśnie stamtąd — przerwała nagle Marta — gdzie udaliśmy się z Armandem w celu zebrania pewnych papierów i wiadomości potrzebnych do zawarcia ślubu. Otóż, powiedziano nam tam, że wszystkie akta stwierdzające moją identyczność, pozostały w Clermond-Ferrand, zkąd przywieziona zostałam do Besancon. Udaliśmy się więc do pierwszego mojego schronienia. Nowa przełożona, bo tamta już nie żyje, oznajmiła nam, że w księgach klasztoru zapisanem zostało iż dnia 10 marca 19... zostałam przywieziona i oddana do zakładu przez księdza Pegrusse proboszcza z Monestier. I oto dlatego zjawiliśmy się tutaj z Armandem.

— I dobrze uczyniliście moje dzieci. Opatrzność was tu naprawdę przywiodła. Ty Marto pozostaniesz tutaj aż do dnia ślubu...

— A ja? — zapytał Armand, patrząc smutnie na Martę.

— Pan zaś zamieszka w Sangeac...

— Oh! księże proboszczu! tak daleko...

— Drogi się tak poprawiają, że wkrótce przyjechać swobodnie będzie można.

— Nie! Nie! — zaprzeczył stanowczo Armand. — Nie mogę się na to zgodzić księże proboszczu. Byliśmy już raz rozłączeni z Martą i Bóg jeden wie, ile przecierpieliśmy oboje... i teraz lękam się, że znowu jakaś przeszkoda...

— Czego się pan może tu obawiać? zapytał łagodnie ksiądz Pegrusse.

— Wszystkiego... Sam ksiądz proboszcz wspominał, że okolice te, a szczególniej skały Rochegrise fatalne się stały dla brata Marty...

— Słowa twoje przerażają mnie Armandzie — zawołała Marta blednąc nagle... Oh! tak! tak! pozostań tu... nie oddalaj się... czuwaj nad nami.

— Czy nie mógłbym znaleźć jakiegoś pomieszczenia we wsi tutejszej?

(Ciąg dalszy nastąpi).

WACLAW STECH.

NAJLEPSZY CZŁOWIEK

Przełożył z czeskiego W. F.

Wieczorny pociąg przywiózł do Pietic tak zagadkową przesyłkę, że adjunkt urzędu pocztowego uważał za swój święty obowiązek posłać listonosza po administratora, który już od pół godziny tonął w rozkoszach butelki.

Administrator jednakże też nie mógł rozwiązać tej niezwykłej zagadki. Udano się więc do poczmistrza. Ten zjadał właśnie ostatnie okruszyny chleba rozsypane po stole podczas kolacyi i ubierał się z zamiarem pójścia do gospody, gdy adjunkt przyszedł po niego.

Gospoda musiała naturalnie ustąpić przed urzędowym obowiązkiem i nieurzędową ciekawością, choć co prawda ta ciekawość była najzupełniej uzasadnioną i z pewnością każdy byłby w podobnej sytuacyi zaciekawiony, może chyba w mniejszym tylko trochę stopniu.

Stali więc ci trzej reprezentanci pietickiej poczty w promieniach naftowej lampy i wszyscy razem wiedzieli akurat tyle, co adjunkt wiedział na samym początku, to znaczy — nic. Poczmistrz trzymał w rękach mały pakuneczek, opatrzony siedmioma pieczęciami, ważący 650 gramów, a nadany we Filadelfii w Pensylwanii. Adres tej przesyłki brzmiał: „Najlepszemu człowiekowi w Pieticach. Czechy (Bohemia), Europa. Zawartość: klejnot wartości 20 dolarów". Ostatnia wzmianka o zawartości była wyrażona w języku czeskim i angielskim. Oprócz tego, na dole, było napisane jeszcze jedno zdanie tylko po angielsku, które adjunkt, absolwent akademii handlowej, gdzie powąchał trochę angielszczyzny, przetłómaczył w ten sposób: „Wartość przesyłki zbadał i potwierdza urząd pocztowy w Filadelfii (Pensylwania).

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Najlepszemu człowiekowi w Pieticach!

Pytanie, którego mógłby sobie pogratulować nawet największy sfinks.

Najlepszemu człowiekowi! Gdyby było napisane: najlepszemu szewcowi. Doręczyłby to kazał poczmistrz poprostu Czechurowi w rynku; najlepszym cukiernikiem jest Teprsz, najlepszym restauratorem Raulich, najlepszym policyantem Pipka, najlepszym złodziejem Szulista — ale najlepszym człowiekiem? — to trochę za wielkie pytanie.

Szczęściem jeszcze, że poczmistrzem jest spokojny, stateczny i rozważny pan Salaba. Inny na jego miejscu popełniłby jeszcze jakie głupstwo, pospieszyłby się, a potem musiałby ponosić konsekwencye swojego czynu. Podana wartość 20 dolarów wynosi więcej niż 50 złotych i poczmistrza, który ręczy za należyte doręczanie przesyłek, mogłaby taka pomyłka kosztować dosyć drogo. Działać więc powinno się nadzwyczaj ostrożnie.

Wniosek administratora, żeby przesyłkę odesłać z powrotem z dopiskiem, że „adresat w miejscie nieznany", odrzucił poczmistrz stanowczo. Coby sobie w Pensylwanii pomyśleli, gdyby napisał, że w Pieticach niema najlepszego człowieka, ani nawet nikogo, ktoby chociaż pozornie zasługiwał na takie miano.

Uchwalono więc dołożyć wszelkich starań, aby w Pieticach koniecznie tego najlepszego człowieka wyszukać. Poczmistrz schował dziwoląga z Filadelfii do głównej kasy i poszedł w stronę gospody.

* * *

Przez drogę zaczął się zastanawiać nad tem, kogoby można zrobić adresatem tej dwudziesto dolarowej przesyłki. Po chwili doszedł do przekonania, że łatwiej będzie najpierw wykluczyć niegodnych tego zaszczytu. Przekreślił więc najpierw burmistrza, z którym wiódł spór o linię graniczną na nowem mieście, następnie proboszcza, który wbrew odwiecznemu zwyczajowi nie zaprosił go na przyjęcie podczas ostatniej wizytacyi jeneralnej, potem sędziego okręgowego, który przed miesiącem uznał, że garbarz Patrczka ma prawo do studni Salaby i wreszcie dyrektora miejscowego gimnazyum za to, że syna poczmistrzowego ukarał niedawno czterogodzinnym karcerem.

Wszyscy ci, jak osądził poczmistrz, byli ludźmi niesprawiedliwymi i złymi i dlatego żaden z nich nie może być uznanym za najlepszego człowieka w mieście. Jakże on jednak znajdzie adresata w Pieticach, jeśli tu trzeba zrobić przegląd wszystkich mieszkańców. Chyba mu przyjaciele poradzą i pomogą. Z tą myślą wszedł do gospody.

* * *

Nikt tego wieczora nie grał w karty. Nie toczyły się także kule po bilardzie, ani kupiec Jiszka nie opowiedział mu ani jednej anegdoty, słyszanej od kupców, którzy wędrując w celach handlowych zabłądzili czasami i do Pietic.

Szukano wyłącznie tylko najlepszego człowieka w mieście.

Najpierw jeszcze musiał poczmistrz przełamać niedowierzania zebranych i wysłuchać całego szeregu przypuszczeń, ktoby to mógł przysłać tę dziwną przesyłkę z Ameryki. Każdego więc, kto w ostatnich trzydziestu latach uciekł z Pietic z córką lub żoną, kto bał się tu jej poboru, sądu czy teściowej i szukał spokoju za morzem, poddawano dzisiaj nowemu śledztwu, ale wszystko okazało się bezskutecznem. Żartu tego, połączonego z dziwną wspaniałomyślnością, mógłby się chyba dopuścić emigrant z Pietic kupiec Szoulka, który kilka lat temu narażał na drwiny wszystkich, niemających wedle jego mniemania dość patryotyzmu, energii, uprzejmości i tak dalej. Ponieważ jednak jeden z obecnych radnych przypomniał sobie, że kupiec Szpulka pisał niedawno prośbę o jakieś dokumenty z Rosyi, musiano go więc także pominąć i ostatecznie dać spokój rozstrzyganiu niewdzięcznego pytania, kto to posłał, a przystąpiono do kwestyi: komu to posłać.

* * *

Każdy z obecnych był z głębi duszy najświęcej przekonany o tem, że — jeśli sprawiedliwości ma się stać zadość — to nikt inny, tylko on właśnie sam jest kandydatem na odbiorcę tego daru amerykańskiego. Żeby jednak „nie gadano", każdy wymieniał bardzo chętnie różne inne osoby.

Doktor Piwońka zauważył więc, że tym najlepszym człowiekiem mógłby być chyba stolarz Szipek, który, jak wiemy, wyciągnął przed dwoma laty ze stawu tonącego chłopca. Zaledwie jednak lekarz wypowiedział to zdanie, przebiegł mu po plecach zimny dreszcz na myśl, że kto wie, czy istotnie tego przeklętego stolarza, który i tak dostał srebrny krzyż zasługi, nie zrobią adresatem onej przesyłki. Niepotrzebnie się jednak lękał, bo oto organista Sikora zaczął wkrótce krzyczeć:

— Jakto? Szipek? To o nim mówicie, że wyratował chłopca od śmierci? Wszyscy przecież wiedzą, jak się to stało. Chłopak się kąpał w stawie. Szipek złapał go za kark, trzymał pod wodą i wrzeszczał: „Chłopcze, przecież ty się topisz!" Ten się zaczął rzucać i wołać: „Daj mi spokój! ja się kąpię!" Ale Szipek nie ustawał. Chwycił go jeszcze mocniej, wyciągnął na brzeg i dopiero wtedy sam narobił wrzasku: „Ludzie! jest tam kto! Wyciągnąłem chłopca z wody — topił się! Gdyby nie ja, byłby miał pojutrze pogrzeb!" I za to dostał Szipek krzyż zasługi.

Organista opowiadał to z takimi gestami, że cała gospoda aż się trzęsła od śmiechu. Szipek naturalnie nie wygra już pensylwańskiego terna. Doktorowi Piwońce spadł z serca kamień młyński. — Kasyer kolejowy przypomniał sobie starego, ośmdziesięcioletniego Kuczera, który w jesieni dał między innymi pięć stówek na założenie miejskiej biblioteki w Pieticach.

— Pozwolę sobie wspomnieć — powiedział na to kuśnierz Valda — że te pieniądze dał w papierach rządowych, które dzisiaj mają kurs około dziewięćdziesiąt, czyli że dał tylko półpiętej stówki naszych pieniędzy. A zresztą, mówiąc między nami, to każde dziecko wie o tem, dlaczego to Kuczera zrobił!

— Dlaczego? Dlaczego? — pytali jedni z ciekawości, a inni ucieszeni tem, że i Kuczerowi nie wpadnie do kieszeni ten dar amerykański.

— Boże, toście wy ludzie dopiero! Że to wam wszystko trzeba łopatą pakować do głowy! Bo chce być honorowym obywatelem Pietic.

Zdumiono się. Jedni się z tem zgodzili, niektórzy jednak kiwali jeszcze głowami z niedowierzaniem.

— Gdzietam — odparł poczmistrz — wiemy przecież wszyscy, że Kuczera to poczciwa dusza.

Valda zrobił minę, jakby go pies ugryzł i zaczął się gorączkować, bo mu kiedyś Kuczera wszędzie w drogę przy wyborach do rady miejskiej.

— No, ja nie wiem, panie poczmistrzu, coby na to powiedzieli w Dyrekcyi w Pradze, gdyby pan za najlepszego człowieka uznał tego, co trzy lata siedział pod kluczem w Komarnie za rabacyę. Tak, panie poczmistrzu.

Poczmistrz zaczął chrząkać.

Walda podniósł głos.

— I nie wiem także, czyby pan ten dużo dopomógł miastu, co stara się, żeby linia północno zachodnia szła koło Pietic. Musi pan pamiętać o tem, że na górze mają dobry słuch. Tam pa-

trzą na wszystko, co się u nas dzieje. Niech tylko dostaną wiadomość, że w Pieticach są warchoły, a już jesteśmy zgubieni!

Wszyscy potwierdzili to słowami i gestami i poczmistrz musiał z Kuczery zrezygnować. Walda odetchnął, jakby wyniósł na wieżę ratuszową hektolitr soczewicy.

Potem przypomniano sobie jeszcze jednego dyletanta, który dotknięty manią teatralną, tyle ofiarował na założenie w Pieticach przybytku Thalii, że już kończył swój żywot niemal w ostatecznej nędzy.

Zgromadzeni jednak dowiedli, że on jest półgłówkiem i że temi idyotycznemi daninami okradł swego spadkobiercę; miano mu także i to za złe, że choć „ledwie łazi", to jednak przy każdych wyborach agituje, jak opętany.

Przepadł także pensyonowany nauczyciel Kurka, o którym wszyscy wiedzieli, że ma tę wadę, iż namiętnie używa tabaki i że będąc dyrektorem miejscowej szkoły (przez całe pięćdziesiąt lat), był dla młodzieży za surowym mentorem. Przy przytaczaniu tego ostatniego dowodu chwyciło się kilku pietyckich obywateli za tylną część ciała. O założycielu błogosławionej przez całą okolicę samopomocy pietyckiej, kupcu Smetaczku, powiedziano, że jest zanadto surowy. gdyż zbił niewinnego syna jednego z gości za to, że mu z żartu nalał do dwóch beczek ogórków tylko po litrze nafty. Obywatelowi Pipce zarzucono, że do majątku i do związanych z nim godności doszedł krętą drogą, bo przez saską loteryę; o szewcu Szwehli nie wiedziano wprawdzie nic złego, ale wszyscy uznali jednogłośnie, żeby go przesyłka z Filadelfii niewiele wspomogła i żeby to przykre zrobiło wrażenie, gdyby najlepszym człowiekiem w Pieticach uznano takiego nędzarza.

Niektóre dowody przytaczano poczmistrzowi szeptem, inne zaś zupełnie głośno, gdy przyjaciel podsądnego na chwilę gdzieś wyszedł. A tyle było tych dowodów i takich, że głowa zaczęła się poczmistrzowi kręcić, jak wrzeciono. Dowiedział się bowiem o ludziach, z którymi się stykał, u których bywał, z którymi żył w przyjaźni, rzeczy wprost strasznych: że stary Pszeniczka uniknął skandalicznego procesu ze służącą tylko dzięki porządnej sumie pieniężnej, którą jej wypłacił, że ojciec mydlarza Žaloudka siedział pół roku w kryminale za bankructwo (wniosek: niedaleko jabłko pada od jabłoni), że kupiec Muf ma pomocnika, u którego znaleziono przemycane cygara (wniosek: jaki pan, taki kram), że przed laty o mało nie przywieźli z Wiednia młynarza Spousta szupasem i t. d. i t. d.

Wynikiem tych wszystkich uwag było to, że poza gospodą niema w Pieticach najlepszego człowieka. Poczmistrz jednak miał w tym wypadku zupełną swobodę; aby więc kogoś nie oczerniono przed nim, wszyscy goście odprowadzili Salabę o północy do domu i rozeszli się dopiero wtedy, gdy odgłos jego kroków umilkł na korytarzu zupełnie.

* * *

Poczmistrz nie mógł zasnąć. Przysięga związała go, że powinności swego urzędu będzie spełniał jak tylko zdoła najlepiej i najsprawiedliwiej. Nie będzie się więc oglądał, ani na prawo, ani na lewo i przesyłkę doręczy temu, kogo istotnie uzna za najlepszego. Ale kto nim jest? Kto jest ten, o którym nikt nic nie wie? Dzisiaj słyszał szczerze, otwarcie wypowiedziane sądy gości z gospody. Ze zdaniami ich musi się w zupełności zgodzić. Ale ktoś musi być przecież tym najlepszym człowiekiem w mieście! Rozpatrzy chyba wszystko jeszcze raz i oceni każdego, a kto będzie miał wad najmniej, temu doręczy ową fatalną przesyłkę.

I zaczął w łóżku na nowo sądzić obywateli pietickich. Szeregował ich najpierw ulicami, potem według godności, według ich zajęć, według związków czy partyi, do których należeli, według pochodzenia, majątku, potem bez żadnego systemu — ale najlepszego człowieka nie znalazł. Chwilami zdawało mu się, że już ma tego poszukiwanego, ale gdy sobie przypomniał, że korespondencyjnymi kartkami upominają go, żeby zapłacił ratę za fortepian czy zegar, dług za ubranie, albo że bije swoją żonę, że nie płaci podatków, że ma dziurawy dach nad głową, albo chodzi w potarganych butach — musiał chcąc nie chcąc dalej szukać w duchu tego najlepszego człowieka z Pietic.

* * *

Następny dzień był naprawdę w Pieticach dniem sądnym. Ludzie stali gromadkami po ulicach, jakby czekali na przyjazd perskiego szacha. O tajemniczej przesyłce z Ameryki opowiadano już całe historye. Zaledwie ktoś zapytał, kto otrzyma tę przesyłkę, zaraz puszczano wodze fantazyi i snuto najprzeróżniejsze domysły. Co chwila leciało przez Pietice jakieś nowe nazwisko, zaledwie jednak utkwiło w kilku głowach, zaraz zaczynała gdzieś z boku pracować kontrmina. Przed apteką dowodził ktoś, że przesyłkę dostanie doktór Piwońka. W kwadrans potem zjawiła się na poczcie baba, którą nieszczęsny lekarz przyprawił fałszywą operacyą o kalectwo, chłopak, któremu przed rokiem wyrwał dwa zdrowe zęby i jakiś wdowiec, który złej dyagnozie Piwońki zawdzięczał utratę żony, a jego ośmioro dzieci utratę matki. Poczmistrzowi przyprowadzili te dzieci w komplecie. Nad stawem słyszał ktoś, że dar amerykański ma dostać adwokat Plewa. Za chwilę była już u poczmistrza wdowa, którą adwokat pozbawił dachu nad głową, sprzedając dom, komornik, któremu zrobił zły kontrakt i służąca, którą własnoręcznie strącił ze schodów. I działo się tak przez cały dzień tak długo, aż wreszcie na poczcie pogaszono światła.

Wieczorem przyszedł Salabie do głowy nieszczęśliwy pomysł, żeby pójść do gospody „pod niedźwiedziem". Chciał tam prawdopodobnie wysłuchać i drugiej strony. Za pół godziny tyle mu nagadano o tych, o któryah sam wspomniał, albo ktoś z obecnych, że myślał, iż ma w głowie dwie dynamomaszyny. Nawet się więc nie pożegnał, tylko w chwili zamięszania uciekł co prędzej tylnymi drzwiami. Po jego zniknięciu powstała w gospodzie o najlepszego człowieka kłótnia, która się po kilku minutach zamieniła w taką bitkę, że gospodarz musiał posyłać po policyę.

Policya jednakże pomóc nie mogła, bo o najlepszego człowieka bili się także i „pod gruszką" i „pod królem Ottokarem" i w rynku „pod nosem". O jednastej byli już na nogach i stróże nocni i też nie mogli dać rady. O północy powołano straż pożarną, o pierwszej żandarmów.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Trzeciego dnia wiedział już poczmistrz o każdym wszystko — tylko nic dobrego. Kto zdradza swoją żonę, kto w Pradze zastawił srebro, kto kiedy sfałszował podpis na wekslu, kto dodaje gipsu do mąki, łoju do masła, wody do piwa, kogo można przekupić, kto co zdefraudował, kto okrada sieroty, okłamuje urzędy, co czyta, pije, ile je, spi, tańczy, z kim chodzi, rozmawia i tak bez końca. Żeby choć trochę mieć spokoju, nie poszedł do biura i zamknął się w sypialni. Bał się, że oszaleje. Ale i to nie pomogło, bo obywatele pieticcy posłali mu do domu swoje żony, córki, kumy i babki. Ponieważ zaś sypialnia poczmistrza miała tylko jedne drzwi do salonu, nie mógł więc biedak wyjść przez cały dzień i musiał wysłuchiwać tej powodzi rad, wskazówek i zdań owej lepszej połowy Pietic. Istotnie, włosa nie zostawiły poczciwego na nikim te miłe damulki, które w ten dzień składały wizyty pani poczmistrzowej. Tylko ich mąż, stryj, brat, szwagier, zięć albo teść był wzorem cnót obywatelskich. Ale już następna wizyta niszczyła dobrą sławę tamtego i chwaliła kogo innego. Potem przyszły inne panie i jeszcze inne i wynosiły pod niebiosa znowu nowe nazwiska tak, że ostatecznie suchej nitki nie zostało na całem męzkiem plemieniu Pietic. I znowu nie wybrał poczmistrz tego najlepszego człowieka. W sypialni pana Salaby wrzało przez cały dzień, jak w centrali telefonicznej.

Wieczór musiał zawezwać lekarza. Ten zmierzył mu gorączkę, tempo pulsu i zalecił — spokój! Waryat!

* * *

Czwartego dnia podano do sądu dwadzieścia sześć skarg o obrazę czci. Oprócz tego kilka osób, naogół samych kandydatów na najlepszych ludzi, ukarano administracyjnie grzywną, albo aresztem w ratuszu.

W południe przyszedł z Pragi do urzędu pocztowego urgens, żeby odesłał potwierdzony przez odbiorcę recepis zwrotny na pensylwańską przesyłkę wartościową.

Dłużej więc wahać się już nie mógł.

Poczmistrz spuścił głowę i zaczął w myśli rozstrząsać wszystko jeszcze raz. Uprzytomnił więc sobie to, co się działo w ostatnich czterech dniach, rozpamiętywał, ile wycierpiał i czego się nasłuchał. Przypomniał sobie, jak przed nim, albo za pośrednictwem jego małżonki wygadywali wszyscy ustnie, albo pisemnie na swoich sąsiadów, znajomych, przyjaciół i współzawodników. Jak natomiast jego chwalili, jak mu ściskali ręce.

Wynosili przecież pod niebiosa jego służbistość (ma przecież trzy pochwalne uznania), jego szlachetność (ile go ona kosztowała!) chwalili go, że się nie upija (bo pił z każdym i zawsze za swoje pieniądze), jego zachowanie się, zgodę małżeńską, towarzyskość i t. d.

Ostatecznie — jakby przeleciał po nim mocny prąd elektryczny — zerwał się poczmistrz na równe nogi i uderzył ręką w czoło.

Potem przeszedł dwa razy po pokoju tam i napowrót, podparł się pod boki i zawołał w końcu:

— Tak, a nie inaczej!

Za chwilę był już w kancelaryi.

Zawołał do tylnego pokoju adjunkta i administratora, a gdy weszli, zamknął drzwi na klucz i powiedział drżącym głosem:

— Panowie, już wiem kto jest najlepszym człowiekiem w Pieticach.

Administrator i adjunkt stali jak piorunem rażeni.

— Dzisiaj już znam każdego w Pieticach na wylot — ciągnął dalej poczmistrz blady ze wzruszenia jak ściana. — O panu, panie Touczek wiem i to, że pan zostawił w Pradze dziewczynę i że w nocy podczas służby łazisz pan przez ogród na piwo. Mniejsza z tem — nie na to teraz pora. O panu, panie administratorze wiem, że pan gra o wysokie stawki, co się sprzeciwia regulaminowi i że pan bywa w Pradze w kabarecie, co się sprzeciwia moralności. Wiem dzisiaj o każdym w mieście, co i jak. Jedynym tylko, na którego nikt nie narzeka, ani się nikt nie skarży, bo właściwie nic złego o nim nie wie, czyli najlepszym człowiekiem w Pieticach — jestem ja!

* * *

Pół godziny potem stali jeszcze obydwaj urzędnicy w tylnym pokoju, jak nieprzytomni; poczmistrz tymczasem otwierał już przesyłkę z Filadelfii na górze w sypialni, gdzie się zamknął na klucz.

Znalazł w niej parę kolczyków, branzoletkę i łańcuszek na szyję.

Pod tem wszystkiem był list.

Poczmistrz rozdarł kopertę i zaczął czytać.

„Największy w Pieticach bezwstydniku! Nie zasługujesz bowiem na lepszą nazwę, jeśli byłeś na tyle bezczelnym, żeś sobie przywłaszczył przesyłkę, przeznaczoną dla najlepszego człowieka w mieście. Na kije ty raczej zasługujesz, a nie na to, co ci posyłam. Wygrałem te rupiecie przed trzema laty na wystawie przemysłowej, a że z gniazda, gdzie mieszkają tacy ludzie jak wy, nie chcę mieć żadnych pamiątek, odsyłam je więc z powrotem tam, skąd je wywiozłem. Dałbym jednak chętnie nawet całe doskonale mi w Filadelfii prosperujące przedsiębiorstwo zegarmistrzowskie, gdybym mógł zobaczyć to, co się tam w Pieticabh działo o moją przesyłkę. Ile tam musiało być awantur, przezwisk, doniesień i skarg, zanim wreszcie ktoś złapał to głupstwo, nie mające prawie żadnej wartości. Kto zaś sprzątnął to innym z przed nosa, ten gorzko jeszcze zapłacze nad swojem zwycięstwem. Pieticzanie zaczną cię głupcze teraz tak gryźć i szarpać, że cud się stanie, jeśli nie zwarjujesz. Nie zapomną ci fałszywego kroku i to ani tobie, ani całej twojej rodzinie, począwszy od pradziadka — a nie znajdą niczego, to sobie wymyślą, żeś kiedyś kogoś okradł, zabił, albo podpalił — wogóle sprawią ci łaźnię, której nie zapomnisz przez całe życie. A może tak się ciebie pozbędą, jak się mnie pozbyli, to przyjdź wtedy do mnie i opowiedz mi, co robi ta banda, to stado, które żyje w Pieticach, obmawia się, ubliża sobie i tak się kłóci, że ledwie z zębami nie skaczą do siebie. Żeby mi się ten żart udał, posłałem przez szwagra z Rosyi list, który miał pieticzan wprowadzić w błąd, gdyby chcieli przypuszczać, że to ja wysłałem tę przesyłkę. Udało mi się — tem lepiej! Bądź zatem zdrów i — dobrego apetytu!

Karoj Szpulka, zegarmistrz.

Dosyć już było późno, gdy po wyważeniu drzwi od sypialni znalazła pani poczmistrzowa swego męża zemdlonego.

Kronika tygodniowa.

Zanim przystąpimy do zwykłego porządku dziennego, raczej tygodniowego, niechaj nam wolno będzie powtórzyć pytanie jakie dyskretnie pozwoliliśmy sobie postawić przed kilku miesiącami, dotąd jednak nie spotkaliśmy się nigdzie na nie z odpowiedzią.

Za kilka dni przypada sześćdziesiąta rocznica wybuchu Powstania Styczniowego w. r. 1863, ale jakoś cicho i głucho o tem i nie słychać wcale, aby ktoś zajmował się poważniej urządzeniem obchodu tej pamiątki narodowej. Przed kilku miesiącami na tem samem miejscu zapytywaliśmy się, czy ogół polski pamięta, że styczeń 1923. już za pasem i powinno się pomyśleć, aby ta rocznica nie przeszła bez echa, jakie się jej słusznie należy. Ale głos nasz był w tym wypadku widocznie głosem wołającego na pustyni, w żadnem z codziennych pism naszych, choć wówczas jeszcze wszystkie wychodziły, nie spotkaliśmy się z wzmianką, aby utworzył się jakiś komitet, mający się zająć tą sprawą, a przecież chyba Kraków, serce Polski, powinien był o tem w pierwszym rzędzie pamiętać. W chaosie, wywołanym wypadkami życia codziennego, zapomniano o spłaceniu tego długu wdzięczności wobec tych już nielicznych, którzy przed sześćdziesięciu laty porwali się do wielkiego czynu, a szlachetny swój zapał opłacili długoletnią męką i poniewierką. Z roku na rok przerzedzały się ich szeregi, ci jednak, którym niebiosa pozwoliły doczekać się odrodzenia i zjednoczenia Ojczyzny, jakoś smutnie spoglądają swemi przygasającemi ze starości oczyma na to młodsze pokolenie, przechodzące obojętnie do porządku dziennego nad tem, o czem się przedewszystkiem pamiętać powinno. Dziś przypominać o tem już zapóźno, przez ten tydzień, jaki nas dzieli od sześćdziesiątej rocznicy nie naprawi się zapomnienia, choć nie wątpimy, że znajdzie się przecież ktoś, kto pomyśli o tem, aby w dniu 21. stycznia b. r. zająć się bodajby urządzeniem nabożeństwa, poświęconego pamięci tych, którzy życie swe nieśli wyłącznie na ofiarę Ojczyźnie. Za dawniejszych czasów, gdy żyliśmy w niewoli trzech zaborców, o każdej takiej rocznicy jakoś się żywiej pamiętało, obeszło się bez przypominań, ostatnią pięćdziesięcioletnią, pamiętamy jeszcze dobrze, choć wówczas rząd austryacki, mający nas w swej opiece dokładał starań, aby Polacy zbyt głośno nie wyrażali swych uczuć, stojących w sprzeczności z c. k. lojalnością. Dziewięć następnych rocznic przeszło ciszej, na co wpłynęły przedewszystkiem lata wojenne, ale sześćdziesiąta rocznica powinna była być obchodzoną bardziej głośno i manifestacyjnie, niż się to zapowiada.

Kraków znany jest z tego, że lubi zajmować się urządzaniem obchodów, a co drugi jego mieszkaniec to czynny członek bodajby kilku komitetów obchodowych, najczęściej bardzo banalne mających zadania, (np. urządzenie jubileuszu dwudziestopięcioletniej działalności społecznej panny sekretarki jakiegoś stowarzyszenia...), jeśli jednak rozchodzi się o coś poważniejszego, kiedy uroczystość nie może się ograniczyć na wspólnej uczcie lub wieczorze z tańcami, zajmujących się tem trudno znaleźć.

Kronikarz, spotkawszy przed kilku dniami jednego z takich najczynniejszych komitetowych, bez którego pomocy nie udałby się u nas żaden obchód, zapytał go, co słychać z sześćdziesiątą rocznicą Powstania Styczniowego i w odpowiedzi usłyszał:

– Panie łaskawy, teraz karnawał, kto zaprzątałby sobie głowę czemś podobnem!... Sam pan chyba przyzna, że uczczenie tej rocznicy balem nie byłoby odpowiedniem, a na obmyślanie innego obchodu brak czasu z powodu krótkości tegorocznego karnawału... Ale my o tem nie zapominamy, cierpliwości tylko, a przekona się pan sam, jak wspaniale wypadnie stuletnia rocznica, której urządzeniem zajmuje się komitet, mający się już w tych dniach zawiązać... Kraków pokaże wówczas, że jest naprawdę sercem Polski i że to serce bynajmniej nie wygasło, choć zbyt często zarzucają nam obojętność dla spraw narodowych, nawet wówczas, gdy nic nie stoi na przeszkodzie pełnemu się im oddaniu...

– Ba!... Czterdzieści lat, jakie mi pan każe czekać, to trochę za długo!... – zauważył kronikarz.

– Śmiej się pan z tego!... Co to jest czterdzieści lat w porównaniu z wiecznością?... Dawniej, gdy liczyliśmy nasze wydatki dzienne i dochody na korony, miesięczne na setki, a roczne na tysiące, czterdzieści lat miało jakieś znaczenie, ale dziś, gdy rozporządzamy milionami jest to głupstwo, z którem się nikt nie liczy.. Radzę panu, niech pan wcześniej nie umiera, a przekona się pan, co to będzie za uroczystość... Ale bardzo pana przepraszam, muszę spieszyć, gdyż za kwadrans zaczyna się lekcya tańców, a obowiązek obywatelski nakazuje mi wyćwiczyć się w nich należycie... Nie ma pan pojęcia, ile to kosztuje człowieka pracy, aby módz podołać swym zadaniom, gdy co roku inne tańce są w modzie...

I zniknął na zakręcie ulicy, a kronikarz mimowoli musiał mu przyznać racyę, że urządzenie publicznego balu w rocznicę wybuchu powstania jest nieodpowiednie, że zatem główną winę ponoszą tylko ci, którzy wybuchu powstania nie odłożyli na czas właściwszy, naprzykład na wielki post, bardziej się nadający do urządzania poważnych obchodów, niż karnawał i do tego tak krótki, jak tegoroczny. Na dzień 21 stycznia był wprawdzie zapowiedziany bal słuchaczów Polskiej Szkoły Nauk Politycznych, na czas jednak został odwołany, a jako motyw podano „powagę chwili".

Wytłómaczenie komitetowego nie wystarczyło kronikarzowi, postanowił zatem zainterpelować w tej kwestyi poważniejszą osobę, t. j. jednego z ojców miasta.

Prawda, prawda!... — odparł tenże wy słuchawszy – Ale widzi kochany pan, my mamy tak teraz głowę zajętą różnemi ważnemi sprawami, że trudno doprawdy o czemś innem pomyśleć. Ledwie skończyły się wybory, teraz przychodzi na porządek budżet miejski, człowiek ma głowę tak zakłopotaną, że doprawdy nie wie, do czego się najpierw zabrać, bo i właśnych interesów nie brak, a jeden pilniejszy od drugiego... Dwudziestego pierwszego stycznia wypada na szczęście akurat w niedzielę, ludzi zatem w kościołach nie braknie, sklepy będą pozamykane, co nada miastu wygląd uroczysty, a nie wątpię, że znajdą się i tacy obywatele, którzy domy swe ozdobią kwiatami... Zresztą, przyznam się panu, obecne położenie polityczne do urządzania takich obchodów jakoś się nie bardzo nadaje. Nie wie się właściwie, jaki u nas wiatr wieje i nie chciałby się człowiek niepotrzebnie narażać. Dziś mamy w Polsce rządy lewicowe, spoczywające w ręku przedewszystkiem chłopów i socyalistów, a rezerwę ich stanowią mniejszości narodowe, a sam pan chyba przyzna, że w powstaniu brali udział przedewszystkiem panowie, że zatem trudno wymagać, aby pamiętali o nich dzisiaj ci, którzy przeciw inteligencyi wrogo występują. Bardzo mi się podoba ten pomysł, o którym pan wspomniał, aby urządzić wspaniałą stuletnią rocznicę wybuchu powstania, bo to i czasu będzie dosyć na poczynienie przygotowań i koszta będą mniejsze, gdyż marka polska do tego czasu wzmocni się niezawodnie... Ja tam, choć jestem tak zajęty, nie będę się wahać ani chwili, jeśli mnie zaproszą do wzięcia udziału w pracach komitetu, obowiązki bowiem obywatelskie spełniam gorliwie, oczywiście, o ile mi czas na to pozwala i nie koliduje to z moimi interesami...

Nie pozostaje zatem nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i czekać jeszcze lat czterdzieści. Uczestnicy powstania, którzy na sześćdziesiątą rocznicę wybuchu czekali całą kopę lat, z łatwością mogą poczekać jeszcze czterdzieści, a wówczas przekonają się, że nasze społeczeństwo umie ocenić należycie zasługi i szlachetne wysiłki.

Dla niejednego z nas owo czterdziestoletnie czekanie może się dziś wydaje zbyt uciążliwem, niechaj się jednak każdy tem pociesza, że tak ciężko jak jest obecnie, nie będzie zawsze, że przecież raz wyklarują się stosunki, a bogini szczęścia okaże nam swe weselsze oblicze. Nad naprawą Rzeczypospolitej jeśli jeszcze nie pracują powołani do tego, to w każdym razie o niej myślą i to bardzo poważnie, przełomową chwilę stanowić ma oczywiście wielkie konsylium specyalistów, zwołane przez premiera Sikorskiego na dzień 9 stycznia do Warszawy. Gdy się byli ministrowie skarbu zjadą razem, a Duch Święty zstąpi na nich, niewątpliwie uradzą coś mądrego, zwłaszcza, że, jak powiadają, ma zapraszający użyć do nich sparafrazowanych nieco słów pana Wojskiego do Domejki i Dowejki: „A póty was nie puszczę, aż coś uradzicie!..."

Na takie zaproszenie głuchymi pozostać nie mogą, projekty posypią się jak z dziurawego rękawa, a nowy minister skarbu, na którego nominacyę właśnie oczekujemy, będzie miał w wysokim stopniu ułatwione zadanie do spełnienia. Pan Jastrzębski kierował naszemi finansami stosunkowo krótko, wobec czego nie mógł spełnić swych obietnic, których nam nie żałował przy obejmowaniu portfelu. Dziś należy i on do emerytów i nie wątpimy, że i jego następca, podobnie jak on, znajdzie dość powodów do krytyki działalności swego poprzednika, po którym nam została tylko jedna pamiątka, t. j. „Złota pożyczka".

Gdyby na tę konferencyę, mającą radzić o poprawie naszych stosunków, zaproszono kronikarza, wiedziałby on z pewnością, z jakimi wystąpić projektami. W pierwszym rzędzie poprosiłby pana ministra rolnictwa, aby nie pozwalał na wywóz zboża za granicę, a pana ministra sprawiedliwości, aby polecił swym podwładnym stosowanie ustaw względem paskarzy i lichwiarzy w całej surowości bez oglądania się na to, czy tam jakiś Vorzimmer zechce się znów porwać na sędziego, gdy ten, zamiast go pochwalić za jego obywatelską działalność, wpakuje go do ula.

Takich Vorzimmerów powinno się karać bez żadnego pardonu, a wówczas może rzuciłoby to postrach na ich kolegów, adwokata zaś, który stara się wytłómaczyć wyzysk lichwiarza, wypadałoby wraz z oskarżonym pociągnąć do odpowiedzialności, jako pochwalającego czyny karygodne i zachęcającego przez to innych do ich spełniania.

Jak bezwzględnymi są nasi wyzyskiwacze z działu żywnościowego, tego dowody składają na każdym kroku przedewszystkiem rzeźnicy a obok nich piekarze. Nie dosyć, że tak jedni jak i drudzy conajmniej dwa razy w tygodniu przedstawiają władzom do zatwierdzenia nowy cennik, ponadto szczególniej ci pierwsi, do tych cenników sami się nigdy nie stosują, żądając stale wyższych cen, ilekroć zaś władze nie spełnią ich życzeń, zamykają ostentacyjnie swe sklepy i jatki, motywując swój czyn brakiem towaru, gdy tymczasem magazyny ich, jak wykazały rewizye ostatnie, są bardzo dostatnie zaopatrzone, ale dostępne tylko dla tych, którzy stosują się do ich żądań. To też Kraków znajduje się obecnie stale w stadyum przymusowego postu, a przez ostatnie dwa dni świąteczne, tj. Trzech Króli i następującą po nich niedzielę, byliśmy zupełnie pozbawieni mięsa. Na ukrócenie tej samowoli rzeźników nie znaleziono dotąd żadnych środków, na wszelkie odwoływania się do ich poczucia obywatelskiego są głusi i śmieją się z nich w żywe oczy, jeśli zaś przypadkiem który z nich ukarany zostanie grzywną, cóż mu to szkodzi, choćby zapłacił nawet milion, skoro w następnym tygodniu odbije sobie go kilkakrotnie, bo ludzie bez jedzenia obejść się nie potrafią.

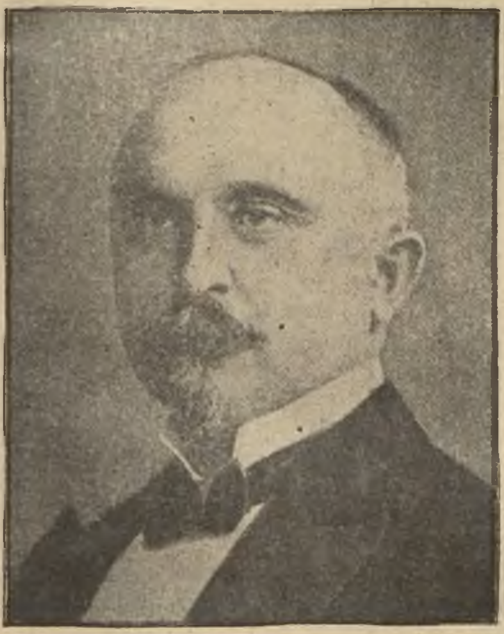
Nasze władze miejskie obchodzą się z rzeźnikami bardzo delikatnie, aby sobie ich nie zrazić. Istniała w Krakowie swojego czasu prowadzona przez miasto fabryka wędlin, będąca pewnego rodzaju regulatorem cen, ale bardzo prędko postarano się o jej zniesienie, aby rzeźnikom i masarzom nie robiła konkurencyi. Jako powód zwinięcia podano, iż się magistratowi nie opłaca, co może być policzonem jako jeden dowód więcej niedołęstwa naszej gminnej gospodarki, nie umiejącej bodajby związać końca z końcem przy tem, na czem inni zarabiają miliony.

W lekceważeniu sobie wszelkich zarządzeń, wydanych czy to przez władze państwowe, czy samorządowe, idą z sobą o lepsze wszystkie zawody, to też ustawy u nas istnieją na papierze, a drożyzna rośnie z każdą chwilą.

stwierdzono, że został on ranny dwiema kulami w brzuch i w stos pacierzowy. Życiu jego nie grozi niebezpieczeństwo, ale skutkiem uszkodzenia kręgosłupa, będzie on sparaliżowany w dolnej części ciała.

Dr Alojzy Raszin, z zawodu adwokat, objawił już jako poseł do parlamentu austryackiego niepospolite zdolności polityczne, a jako czeski minister skarbu okazał się pierwszorzędnym finansistą i administratorem. Należał on do zarządu czeskiego stronnictwa narodowej demokracyi, na której czele stoi Kramarz, a organem są „Narodni Listy“. Stronnictwo to występowało przeciw legionarzom czeskim, zarzucając im, że poszli na Syberyę, zamiast ruszyć na Moskwę i połączyć się z monarchistami rosyjskimi. Podczas wojny Raszin należał do męczenników swego narodu i długi czas więziony był przez władze austryackie. Więzienie podkopało silnie jego zdrowie, tak, że po wojnie wyjechać musiał do Włoch. Tam też zetknął się w Genui z delegacyą polską na konferencyę.

Sprawca zamachu dokonał zbrodni niewątpliwie z pobudek politycznych. Po aresztowaniu motywował swój czyn tem, że dr. Raszin „obraził legionarzy“, nie jest jednak wykluczone, że działał on z ramienia skrajnej lewicy, która była niezadowolona z bezwzględnej polityki finansowej. dra Raszina, mającej na celu jedynie interes państwa i skarbu.



Zamach na czeskiego ministra skarbu: Dr. A. Raszin, czeski minister skarbu.



„Popas króla Jegomości“ na scenie krakowskiej: P. Pancewiczowa (Małgorzata) i p. Bracki (Pieter).

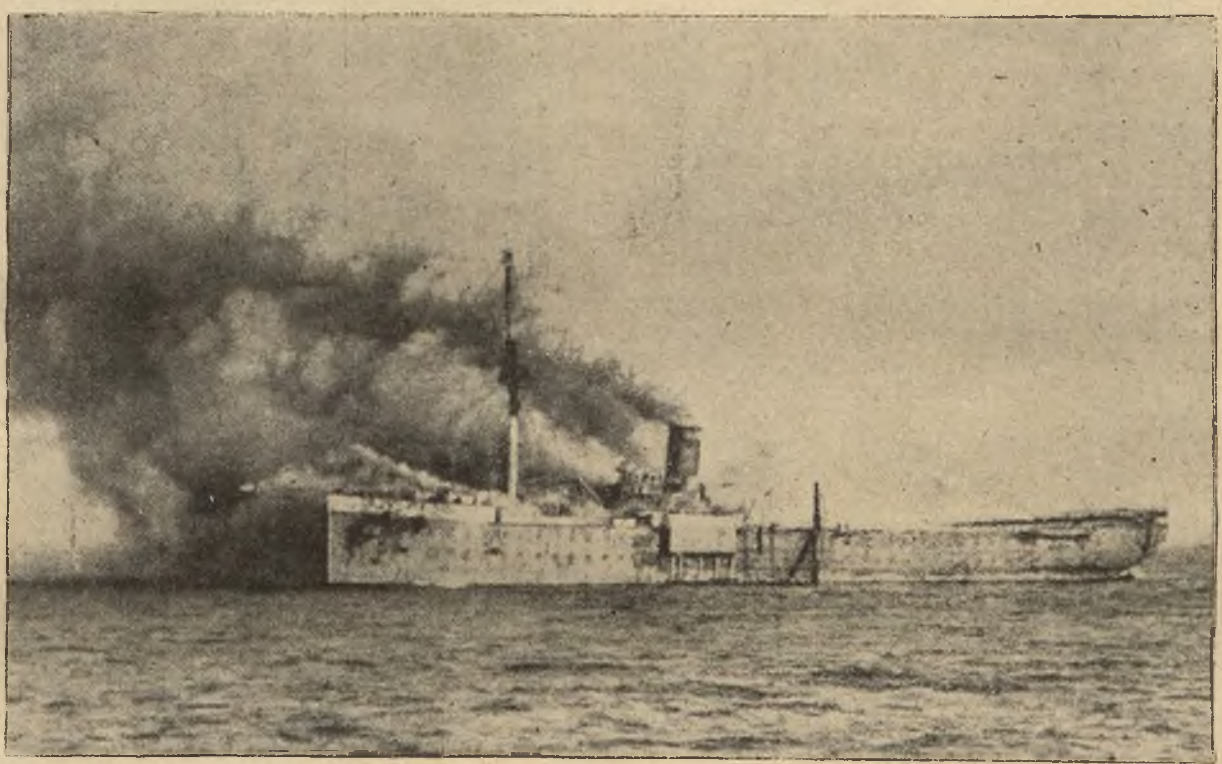


Trzęsienie ziemi w Ameryce Południowej: Zniszczona przez powódź i trzęsienie ziemi nadbrzeżna dzielnica miasta Coquimbo w republice Chile.

Pożar francuskiego okrętu na tureckich wodach.

Demonstracya flotowa, zarządzona przez państwa koalicyjne przeciw Turcyi, zgromadziła na wodach Bliskiego Wschodu liczne okręty, tak wojenne jak i przewozowe. Jeden z nich, francuski okręt szpitalny, *Vinh-Long*, w dniu 16 grudnia ubiegłego roku stał się pastwą pożaru, powstałego pod pokładem z niewiadomej przyczyny. Ogień zauważono wczesnym rankiem, gdy okręt był w drodze z Konstantynopola do San Stefano, wyznaczonego mu na miejsce stałego zatrzymania się.

Kapitan okrętu *Vinh-Long*, de Framond, zarządził natychmiast spuszczenie łodzi ratunkowych na morze i opróżnienie statku, co się też powiodło prawie w zupełności, z załogi bowiem i podróżnych, których w chwili wybuchu katastrofy było na okręcie około czterysta pięćdziesiąt osób, uratowano prawie wszystkich, z wyjątkiem piętnastu. Z ratunkiem pospieszyły znajdujące się w pobliżu okręty amerykańskie i angielskie, zabierając na pokład załogę i pasażerów. Następnego dnia zniknął *Vinh-Long* z powierzchni morza, szczątki jego zatonęły na głębokości ośmdziesięciu metrów.



Pożar francuskiego okrętu na tureckich wodach: Francuski okręt szpitalny *Vinh Long*, objęty płomieniami nieopodal San Stefano.

Przez ubytek *Vinh-Long* flota francuska znaczniejszej straty nie ponosi. Był to okręt starego typu, zbudowany w latach ośmdziesiątych, przeznaczony pierwotnie na Daleki Wschód. Powinność swą spełnił w Tonkinie, po reorganizacyi floty francuskiej zamieniony został na okręt szpitalny i transportowy, nie posiadał też większego uzbrojenia ponad kilka dział mniejszego kalibru.

Załogę i pasażerów przewieziono do Konstantynopola i rozdzielono pomiędzy inne okręty dywizyi francuskiej, znajdującej się na wodach tureckich.

Miodowy miesiąc „pustelnika z Doorn“.

Osobą ex-cesarza Wilhelma zajmuje się w ostatnich czasach dość żywo prasa zagraniczna. Ofiara swej własnej manii wielkości, poruszył przedewszystkiem opinię publiczną swym drugim ożenkiem z księżną Karolath, choć pierwotnie wymieniano kogo innego, jako jego wybrankę serca. Obecnie pokazuje się, że wdowa von Rochow ustąpić musiała miejsca wdowie, ks. Karolath, pod wpływem najbliższej rodziny cesarskiej, godzącej się w ostateczności na powtórne małżeństwo Wilhelma, ale nie chcącej dopuścić do mezaliansu. Pozatem omawiano głośno dobry interes, jaki Wilhelm zrobił na sprzedaży swych pamiętników, zachęcając w ten sposób innych grafomanów do szukania podobnego zarobku, po dniu 5. listopada, t. j. dacie, gdy Wilhelm zmienił rąbanie drzewa na spełnianie obowiązków małżeńskich, wiadomości z Doorn były bardziej skąpe, gdyż para nowożeńców odcięła się w zupełności od świata.

Było to podyktowane nie tyle względami bezpieczeństwa, jako też chęcią uwolnienia się od ciekawości natrętnych reporterów, ile znowu nadzieją nowego zysku, jak się bowiem dowiadujemy, przed niedawnym czasem sprzedał ex-cesarz Wilhelm pewnej anglo-amerykańskiej firmie za dziesięć tysięcy dolarów prawo reprodukcyi zdjęć fotograficznych, odnoszących się do jego miodowego miesiąca, a przedstawiających „młodą parę“ podczas nielicznych, po za granice parku zamkowego w Doorn urządzanych wycieczek. Jedną z nich były odwiedziny u holenderskiego kapitana

Van Houtena, drugą przechadzka do lasu. Wogóle nowożeńcy trzymają się zdala od szerszego świata, a były cesarz pozostaje pod silnym wpływem swej małżonki, nazywanej przez prasę zagraniczną z przekąsem „cesarzową z Doorn". Wiadomość, podana przez prasę o rzekomym zamachu na Wilhelma, planowanym przez żonę jakiegoś holenderskiego urzędnika, wydaje się być tylko reklamą, puszczoną w świat celem ułatwiania tem korzystniejszego spieniężenia pamiętników i fotografii.



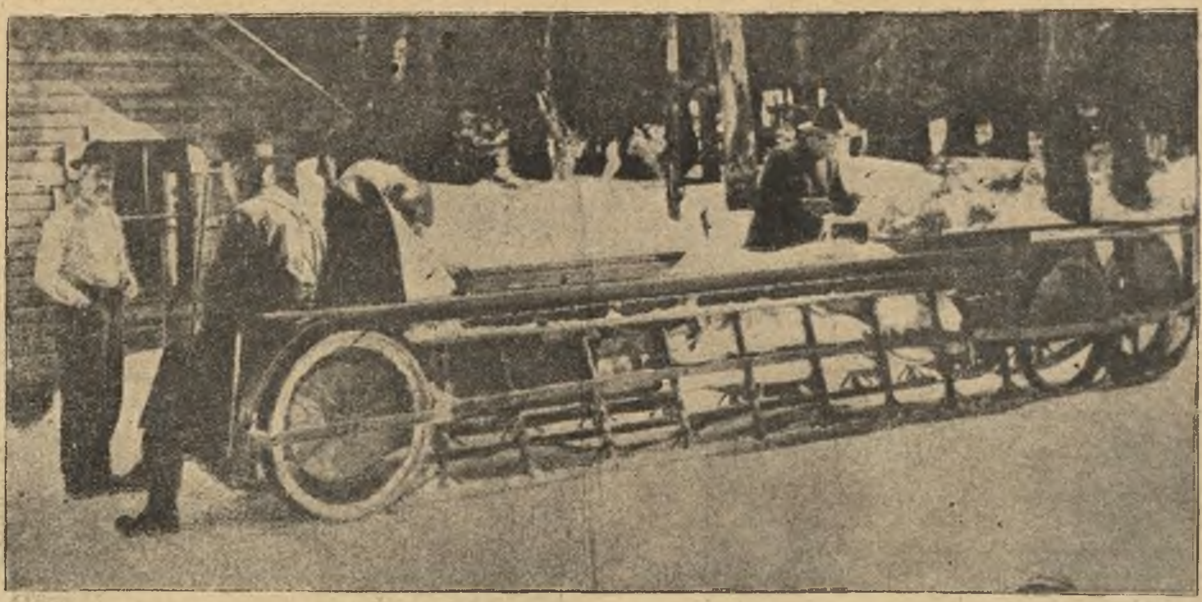
Miodowy miesiąc „pustelnika z Doorn": Poranna przechadzka „młodej pary" w lesie.

Jeszcze sensacyjniejszą reklamę będzie miał niebawem były władca Niemiec, ale już nie z własnej woli. Jak donosi londyńskje pismo „Daily News", w Berlinie odbędzie się wkrótce proces o oszczerstwo, popełnione rzekomo przez dworską kamarylę na osobie wspomnianej wyżej pani Gabryeli von Rochow. Pani Rochow, niegdyś jedna z najpopularniejszych piękności na dworze pruskim, uskarża się, że oszczerstwo polega na rozszerzaniu wiadomości, jakoby ona była tylko „gospodynią" ex-cesarza w Doorn, podczas gdy w rzeczywistości była z nim przez sześć miesięcy potajemnie... zaręczoną!

Rok temu gazety angielskie podały wiadomość o rzekomych zaręczynach ex-cesarza z panią von Rochow, lecz wkrótce potem nadeszło dementi z kół bliskich Wilhelmowi. Obecnie pani von Rochow opowiada:

Wkrótce po śmierci cesarzowej Augustyny owdowiała i ona. Cesarz, którego zna od dzieciństwa i którego przyjaciółką była od lat czternastu, pisał jej, jak samotnym się czuje i wzywał ją do siebie. W lecie w roku 1921 margrabina (?) von Rochow udała się do Doorn, gdzie zastała Wilhelma mocno przygnębionego i smutnego. Wkrótce po jej przyjeździe rozweselił się i ożywił, a 21 sierpnia, będąc u niej po obiedzie na herbacie, formalnie prosił o jej rękę. Przytem upadł na kolana i zachowywał się, jak zakochany młodzieniec. Margrabina przedstawiła mu tysiące powodów, które temu związkowi stały na przeszkodzie i wymówiła sobie „pomimo głębokiej miłości i przywiązania, jakie czuła dla niego" dwa dni do namysłu. Lecz Wilhelm nie chciał czekać, nalegał i w końcu zaręczyli się 24-go sierpnia. Udali się oboje do pokoju zmarłej ex-cesarzowej, uklękli przy łóżku i modlili się, a potem Wilhelm nasunął pierścionek na palec pani von Rochow, mówiąc: „Jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem".

Okazało się jednak, że ex-cesarz Wilhelm jest bardzo zmiennym w swych uczuciach, bo po sześciu miesiącach zerwał z p. von Rochow, która postanowiła zamącić jego idyllę małżeńską skandalicznym procesem.



Automobil-sanki: Sanki motorowe, skonstruowane i używane w Stanach Zjednoczonych.

Automobil-sanki.

Już od dawna technicy pracują nad skonstruowaniem motorowych sani. Dokonano w tym kierunku już wiele mniej lub więcej udatnych prób, dotychczas jednakże sanie motorowe nie znalazły szerszego zastosowania w praktyce. W ostatnich czasach zbudowano w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej nowy typ automobilu-sanek, zaopatrzonych również w koła, jak to widzimy na naszej illustracyi.



Napad lichwiarza mieszkaniowego na sędziego: Sędzia Kaczmarski, prowadzący rozprawy o lichwę.

Napad lichwiarza mieszkaniowego na sędziego.

Do jakiego zuchwalstwa dochodzą rozwydrzeni paskarze, wymownie illustruje scena, jaka się rozegrała w tych dniach w krakowskim Sądzie Okręgowym Karnym. Na ławie oskarżonych zasiadł znany na bruku krakowskim „pośrednik w wyszukiwaniu mieszkań" (naturalnie za grube miliony) niejaki M. Vorzimmer. Sędzia Kaczmarski, mając w ręku dostateczne dowody winy, skazał go po przeprowadzeniu rozprawy na karę trzech miesięcy więzienia i dwa miliony marek grzywny. Równocześnie prokurator postawił wniosek o zarządzenie aresztu prewencyjnego. Pomimo sprzeciwu obrońcy, dra Reinholda, sędzia Kaczmarski zaakceptował wniosek prokuratora i sprzeciwił się wypuszczeniu Vorzimmera na wolność. Wtedy stała się rzecz niesłychana. Oskarżony Vorzimmer, który od chwili odczytania wyroku znajdował się w stanie udanego spokoju, usłyszawszy odmowę sędziego z roziskrzonemi oczyma zerwał się z krzesła, błyskawicznym ruchem chwycił w dłoń stojący na pulpicie obok krzyża, mosiężny, masywny lichtarz i z całą siłą wymierzył podstawką jego straszny cios w okolice skroni sędziego.

Siła uderzenia była tak wielką, iż sędzia Kaczmarski przechylił się na bok, słaniając się ku ziemi. Równocześnie oczom osłupiałych widzów ukazała się na głowie sędziego obok skroni krwawiąca rana. Dopiero po pewnej chwili straż więzienna zdołała ubezwładnić zbrodniarza i odprowadzić do więzienia.



Miodowy miesiąc „pustelnika z Doorn": Excesarz Wilhelm z małżonką w powrocie z odwiedzin u kapitana Van Houtena.

Karkołomny eksperyment.

Trzech odważnych sportowców dokonało w Kalifornii sensacyjnego eksperymentu. Jeden z nich jako pilot opuścił się z aeroplanem nisko nad ziemię, drugi, prowadząc automobil, pędził za aero-

planem, a trzeci dokonał niezwykłej i bardzo ryzykownej sztuki. Stanąwszy na pędzącym automobilu, uchwycił się za ucho szybującego aeroplanu, a następnie zajął w nim miejsce pasażera. Ten niezwykły skok w biegu z automobilu do aeroplanu przedstawia nasza illustracya, zaczerpnięta z pism amerykańskich.



Karkołomny eksperyment: Sportowiec kalifornijski, wskakujący w biegu z automobilu do aeroplanu.

Sympatyczni goście ze Lwowa

Głośna operetka Kalmana „Bajadera", która cieszy się ogromnem powodzeniem na scenie teatru przy ul. Rajskiej, pozyskała tak miłą zawsze dla publiczności krakowskiej atrakcyę w osobach sympatycznych artystów operetki lwowskiej pp. Heleny Miłowskiej i Filipa Kuligowskiego. — Zawsze witani tu serdecznie i tym razem goście lwowscy zbierają na każdem przedstawieniu sute oklaski i objawy sympatyi.



Sympatyczni goście ze Lwowa: Helena Miłowska i Filip Kuligowski.



Napad lichwiarza mieszkaniowego na sędziego: M. Vorzimmer, rozzuchwalony paskarz, który podczas rozprawy targnął się na sędziego Kaczmarskiego.

Kącik humorystyczny.

Dziecię wieku.

Mały braciszek wzbrania się wziąść flaszkę z mlekiem do buzi i drze się w niebogłosy.

— O! Boże! — wzdycha 8-letnia jego siostrzyczka — Znowu te niepokoje żywnościowe!...

Ciągle w kółko.

Ptaszek — zjada robaczka,
Ptaszka — kot krwi chciwy,
Kotu kiszki wypruwa
Pies — srogi myśliwy.

Psa — dusi Mistrz Biliński
Jadąc swą remizą,
A Bilińskiego kiedyś
Robaczki zagryzą!...

Szewska filozofia

W Starym Sączu, miasteczku, w którem co dwa tygodnie odbywają się sławne jarmarki na buty, kupili sobie dwaj gospodarze po parze butów. Jeden z tych gospodarzy, przyszedłszy na następny jarmark do Starego Sącza, odszukał owego sławnego butomistrza i zwrócił się do niego z temi słowami:

— Panie majster! jakieście mi to buty sprzedali, dyć chodzę w nich ledwie dwa tygodnie, a już się rozleciały!

— A smarowaliście wy te buty? – pyta szewc.

— A nie smarowałem — odpowiada gospodarz.

— Widzicie — rzecze sprytny butomistrz — ja nie smarowałem i wyście nie smarowali, to się buty musiały rozlecieć.

Gospodarz pokiwał głową, ale przekonany tym argumentem, pozostawił w spokoju szewca.

Za pół godziny zjawia się drugi gospodarz i również robi majstrowi wymówkę, że w ciągu dwóch tygodni buty mu się rozleciały.

— A smarowaliście wy buty? — pyta szewc.

— Juści smarowałem – mówi gospodarz.

— No widzicie — mówi szewc — ja smarowałem i wyście smarowali, to się buty musiały rozlecieć! I znowu chłopa przekonał.

„Humor Polski".

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się po umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zgłoskówka.

Ułożył Tarek z Krakowa.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazwisko i tytuł (trzy wyrazy) jednej z najwybitniejszej dziś osobistości w polityce światowej.

Romulus, wystawa,
falanga, Ukczewe, Malborg, Zagłoba, Zawisza.

REBUS.



Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Bielski, Warszowa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko miasta, na które zwrócone są oczy całego świata.

Znaczenie wyrazów: 1. szukany wyraz, 2. gatunek małpy, 3. angielska miara długości, 4. jeden z pierwiastków, 5. litera grecka, 6. samogłoska.

Grzebieniówka.

Ułożył T. W., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko greckiego filozofa.

Znaczenie wyrazów; 1. port nad Adryatykiem, 2. strój rzymski, 3. grecka litera, 4. znany grzyb, 5. imię biblijne żeńskie.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożyła M. Wagner, Toruń.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko jednego z naszych ministrów.

— oga
— zot
- ota
— ran
— oga
— set
— aga
— dzi
— yna
— ola

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznacza Redakcya dwie nagrody: **A. Gruszecki „Pod czerwonym Wirchem“ i A. Gałuszka „Uśmiechy Boga“.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.